

VarArt

pismo kulturalno-literackie
nr 2/2014


WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA w OLSZTYNIE
www.wbp.olsztyn.pl



ISSN 2080-1483

WITAJ FOLKOWA JUTRZENKO

Anna Rau

FOTOMONTER

Moje życie może nie było emocjonujące, ale czułem się spełniony i miałem mnóstwo pomysłów na przyszłość. Właśnie – na zamówienie Polskiego Towarzystwa Felinofilów – pracowałem (dzięki wielogodzinnym studiom w bibliotece i ankietom internetowym) nad Ogólnopolskim Słownikiem Biograficznym Posiadaczy Kotów, pierwszą tego typu pozycją na rynku wydawniczym, niezwykle wyczekiwaną przez zamawiającego i obiecującą pod względem rozwoju mojej kariery oraz finansowym. To miał być kamień milowy mojego życia. I oto przez kolejną godzinę kolejnej dniówki konstruowałem kolejne hasła dla województwa warmińsko-mazurskiego, dla miasta Olsztyna, dla dzielnicy Śródmieście.

B.A. – urodził się...; uczył...; zmarł... Miał kota Filonka.

B.G. – urodził się...; uczęszczał...; zmarł... Miał dwa koty, Packę i Zdrapkę.

B.I. – urodziła się...; wykonała... Ma koty Linkę i Miszę.

D.M. – urodził się...; skończył... Ma kota Mruczka.

I.P. – urodził się...; napisał...; zmarł... Miał kota Kluskę.

J.M. – urodził się...; pracował... Ma kotkę Dorsza.

J.A. – urodziła się...; pracuje... Miała kotkę Nutę.

K.M. – urodziła się...; ukończyła... Ma kotkę Kicię.

L.W. – urodził się...; wynalazł... Ma kota Rudego.

O.A. – urodził się...; zasiada w... Ma kota Kąska.

P.A. – urodził się...; wyjechał...; zmarł... Miał kotkę Lunę.

R.A. – urodziła się...; uczestniczy w... Miała kota Fryderyka; ma kotkę Bezę.

R.A. – urodziła się...; napisała... Miała kotkę Penkę; ma kota Portosa.

R.H. – urodziła się...; zakończyła... Ma kotkę Fokę.

S.T. – urodziła się...; przybyła do...; zmarła... Miała kota Psotkę.

W.K. – urodziła się...; uczy się... Miała koty Rysię i Saszę.

Z.B. – urodził się...; sądził... Miał kota Misia.

Z. S. – urodziła się...; utworzyła... Ma kotkę Szprotkę.

Hasła kociły się jak trzeba, a ja już widziałem zadowoloną minę Zamawiającego i ostateczne zakończenie Umowy o Dzieło rozkosznie przypieczątowane kilkoma cyframi.

Wieczorem źle się poczułem i poszedłem wcześniej spać. Zbudziłem się w Białym Tunelu. I Bóg... Boże, Bóg jest kotem!

- Panie, hmmm, o Panie – wyjąkałem, kompletnie nie wiedząc, co mogę w tej sytuacji powiedzieć. – Ty jesteś kotem! – dokończyłem odkrywczo.

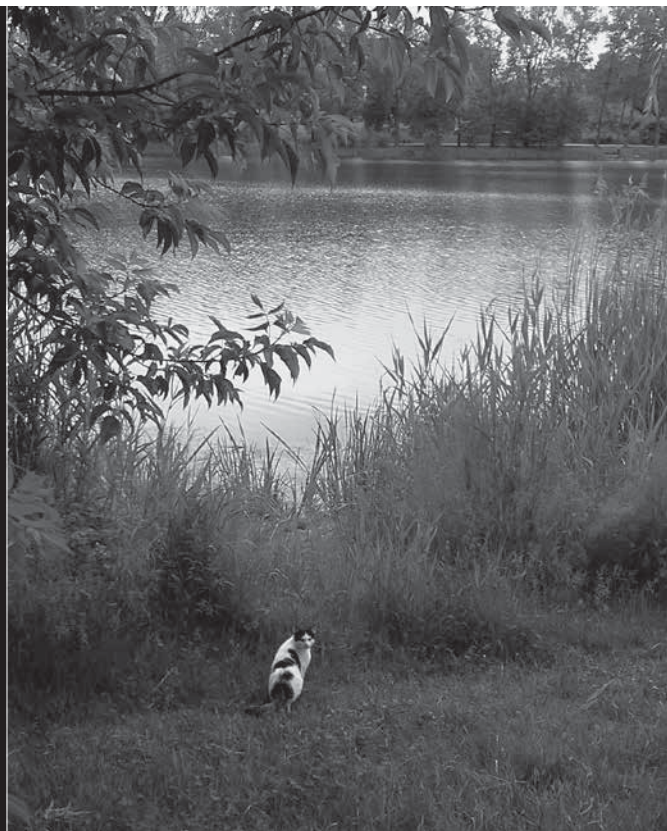
- Bo to niebo dla kotelubnych ateistów.

- Ale ja przez całe życie byłem wierzący! – przerwałem.

- Bo dla ciebie tu jest czyściec – głos zniósł to cierpliwie.

- A czemu nie piekło?

- No, dyskutuj dłużej!...



Jeziro Długie w Olsztynie
Fot. Anna Rau (2014 r.)

Przeniesiono mnie jeszcze do nieba jeżolubnych, ptakolubnych i owadolubnych różnowierców. W końcu zbudziłem się strwożony i zlany potem, a mój kot skierował na mnie spojrzenie pełne doskonałej wiedzy. Centralnie nade mną wisił pajak na cienkiej nitce, a z okna hipnotycznie wpatrywał się we mnie zdziczały gołąb hodowlany.

- Nie, nie, nie, nie – wymamrotałem na pograniczu jawy i snu – ja nie chcę karmy o smaku myszy i miękkich piłeczek ku pokrzepieniu serca... Nie chcę przedziorków ani much na deser. Ja już nigdy więcej nie będę!!!

Kot westchnął i zaczął myć tylną łapkę. Jako wysłannik i obserwator – jako jeden z wysłanników i obserwatorów – niejedno już widział, ale tym razem potwierdziłem swoją najgorszą o sobie opinię. Ostatnio niezwykle reklamowana w mediach Karma o Smaku Prawdziwej Myszy stanowiła jego ulubiony przysmak.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.republika.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau,
Anita Romulewicz, Agata Zaręba-Jankowska
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i ilustracje: Iwona Bolińska-Walendzik, Adam Smoczyński
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



02	Fotomonter XXII
04	Wywiad z Eleonorą Toś
06	O życiu mojej mamy, Warmiaczki
09	Poezja → Monika Stępień → Mariusz Sadowski
10	Irek Betlewicz – wspomnienie
11	Poezja → Ireneusz Betlewicz
12	Tryptyk znad Łyny
14	Recenzja literacka
15	Proza → Wiktoria Korzeniewska
16	Galeria VariArt-u → Elżbieta Boniecka-Milowicz
18	Wawrzyn – Literacka Nagroda Warmii i Mazur
20	Obrazki działdowskie → Elżbieta Zakrzewska
22	Recenzje
24	Kij w mrowisko → Stanisław Czachorowski
25	Proza → Iwona Bolińska-Walendzik
26	Mendelsohn w koronkach
27	Felieton → Chłopomania wiecznie żywa
28	Post apo skills
29	Śpiew i cymbały
30	„Warmia” to moje życie
31	Dom Pracy Twórczej w Gietrzwałdzie

Chodzą słuchy, że jesteśmy narodem chłopów. Bo niby wzorki, kolorki, korale, wstążki, koniki, wianki... Może to i prawda, choć częsty jest pogląd na kulturę ludową jako tę, która z intelektem, jakością, nowoczesnością ma niewiele wspólnego. Pobawmy się więc w skojarzenia: ludowizna-starość, cepelia-naïwność i obciach, skansen... no właśnie. Ludowość to worek, gdzie wrzucamy niepotrzebne rzeczy. Ewentualnie hobby typu zespoły pieśni i tańca lub warsztaty haftu dla seniorów – mało ważne i nieprzystające do rzeczywistości. A może właśnie jest inaczej?

Poczytajcie o nie lada jakiej ceramice Eleonory Toś i wycinankowej animacji Adama Smoczyńskiego, zajrzyjcie do gdańskiej KURtury Elżbiety Bonieckiej-Milowicz. Przyjrzyjcie się też splotom biżuterii Agaty Kulbickiej, wsłuchajcie w muzyczną pasję Anny Brody i członków zespołu „Warmia”, wgrzyjcie w nowy warmiński design Edyty Jurkowskiej, a na koniec ugości Was gietrzwałdzki Dom Pracy Twórczej. Przekonacie się, że ludowe inspiracje mogą prowadzić do rzeczy fascynujących, nowoczesnych oraz modnych i ostatecznie wpłatają się w naszą codzienność, wzbogacając ją. Inne folkowe klimaty czekają na Was w artykule Agaty Zaręby-Jankowskiej, w biografii pewnej Warmiaczki spod Gietrzwałdu, w poezji i prozie oraz w zwyczajowych recenzjach literackich. Całość okraszają eseje i felietony.

Witaj folkowa jutrzeńko!

Redakcja

Kaflarnia warmińska

ELEONORA TOŚ to niezwykła, młoda kobieta, która osiadła w cichej i leżącej nieco na uboczu wsi Marcinkowo na Warmii, gdzie otworzyła wraz z małżonkiem niezwykłą pracownię artystyczną. Jej „Kaflarnia Warmińska” przygotowuje się właśnie do otwarcia galerii w samym centrum gminy Purda (wydarzenie to nastąpi podczas festynu z okazji 630-lecia gminy). Pomiędzy kolejnymi wypożyczeniami udało mi się namówić Eleonorę na krótką rozmowę.

Agata Zaręba-Jankowska: Bytom, z którego Pani pochodzi, od Warmii dzielią setki kilometrów. Jak to się stało, że osiedliście w Marcinkowie?

Eleonora Toś: Rafała, mojego męża, poznałam w Londynie. Pochodzę ze Śląska, z Bytomia, Rafał natomiast urodził się i wychował na Warmii – w Olsztynie. Całe życie mieszkaliśmy w miastach, więc gdy przyszło do zakładania rodziny i zapuszczania korzeni

– zapragnęliśmy uciec od zgiełku i szumu wielkomiejskiego, nadal bardzo przeze mnie kochanego Londynu. Nadarzyła się ku temu niepowtarzalna okazja, Rafał zamienił mieszkanie w centrum miasta na siedlisko na wsi. I tak los zaprowadził nas do Marcinkowa. Kosztowało nas to wiele pracy, jeszcze więcej wyrzeczeń i jeszcze bardzo długa droga do przebycia przed nami, aby wszystko nabrało wymarzonego kształtu. Życie nie zawsze przynosi w darze same miłe niespodzianki... W międzyczasie mój teść ciężko zachorował – po wylewach został sparaliżowany i bycie przy nim oraz opieka były dla nas priorytetem. Niemniej udało się! Nasza córeczka urodziła się i wychowuje w pięknym i bardzo spokojnym miejscu na ziemi, a my wykonujemy pracę, która jest realizacją naszych marzeń i pasją. Ufam, że damy radę wszelkim przeciwnościom!

A.Z.-J.: Czym zafascynowała Was Warmia?

E.T.: Warmia zafascynowała mnie swoją przyrodą i architekturą, choć wiem, że dla niektórych może się to wydać lekko pretensjonalne – tak właśnie jest po dziś dzień! Z racji tego, że jestem jeszcze bardzo „świeżą warmianką”, tym bardziej mnie to piękno Warmii pochłania i fascynuje. Rafał, tutaj urodzony i wychowany, mimo że część

swojego życia spędził na emigracji, od zawsze wiedział, że to właśnie na Warmii chce osiąść na stałe. Gdy po raz pierwszy razem przyjechaliśmy do Olsztyna i Marcinkowa w odwiedziny, jeszcze mieszkając w Londynie, już dla mnie było jasne, że chcę tu „pobyć” na dłużej.

A.Z.-J.: Dlaczego ceramika?

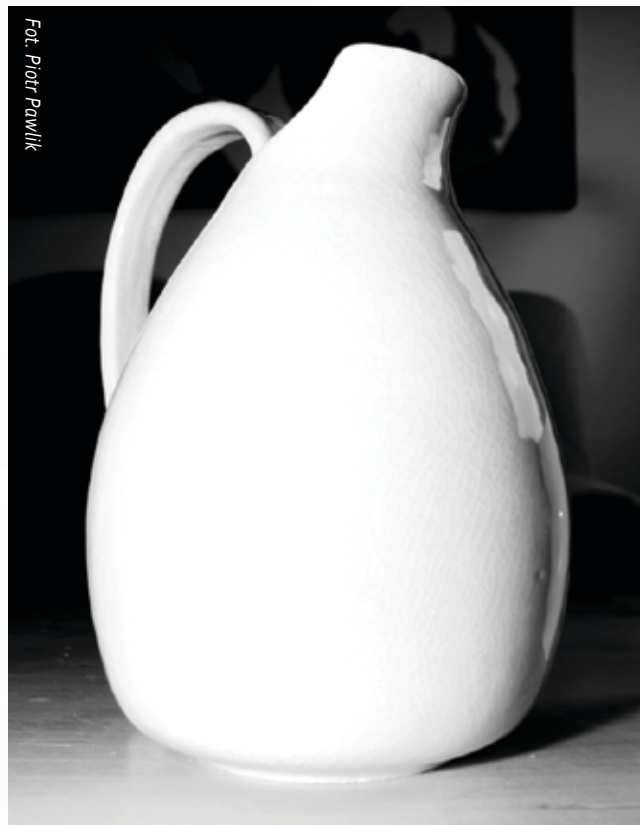
E.T.: Mieszkamy na uboczu, na kolonii, tak naprawdę pomiędzy dwiema wioskami. Tutaj mamy swój wymarzony spokój i ciszę, kiedy trzeba, ale to oczywiście warunkuje pewien tryb życia. Do centrum Olsztyna dojeżdżamy, co prawda, w około 20 minut, ale po latach przeżytych w gonitwie: praca-dom-szkoła-praca-korki-komunikacja miejska, a w szczególności tych spędzonych w Londynie, do tego przy paraliżu teścia i z naszą maleńką córeczką... niewyobrażalnym było dojeżdżanie do miasta codziennie. Musieliśmy wymyślić jakieś zajęcie, które pozwoliłoby nam na większą niezależność i pozostanie na miejscu. Po powrocie do Polski zaczęliśmy konkretnie remontować podupadający dom. Trzeba było zrobić wszystko... Jednym z główniejszych etapów było oczywiście ogrzewanie domu i długie rozmowy na temat opcji, jakie nam sugerowano. Tak od słowa do słowa, krok po kroku, doszliśmy do „naszych” kafli piecowych. Jako że było nam dane przetestowanie na własnej skórze ogrzewania domu kominkiem, a efekty pozostawiały wiele do życzenia, zaczęliśmy drążyć temat. Od tamtego czasu bardzo wiele się nauczyliśmy, a ponieważ mamy w sobie zapal do kultywowania tradycji i do bardzo ciężkiej pracy, jaką niewątpliwie jest ta przy produkcji kafli i ceramiki ogólnie, zapoczątkowaliśmy własną pracownię. Miłość do sztuki, a w szczególności sztuki w połączeniu z funkcjonalnością, spowodowała, że oddaliśmy się tej pracy.

A.Z.-J.: Produkcja kafli piecowych brzmi szalenie intrygująco.

E.T.: Tradycje kafłarskie na naszych terenach są głębokie, czego obecnie niewiele z nas jest świadomych. Najbardziej ciekawe i najbogatsze ośrodki kafłarskie wytworzyły się na Warmii, Mazurach i Kaszubach, na przestrzeni XIX w., pod wpływem słynnych centrów kafłarstwa stylowego, tzn. Gdańska, Elbląga oraz Torunia. Kafle dekorowane były motywami zwierzęcymi i roślinnymi. Na terenie Warmii i Mazur ośrodki wyrobu kafli koncentrowały się wokół Szczytna, Nidzicy i Pasyma. Najstarsze, datowane są na rok 1792.

A.Z.-J.: Na pierwszy rzut oka widać, że inspiruje Was Warmia i jej tradycje estetyczne...

E.T.: Zainteresowanie architekturą i zamiłowanie do natury przekładają się na inspiracje podczas pracy. Jest ich bez liku! Wszystko, czym się interesuję, ma swój wpływ na życie twórcze. Niejednokrotnie chciałabym się rozdziwić bądź nawet roztroić, by móc wsadzić ręce w kilka projektów na raz. Jak mówią moi bliscy – często bywam chaotyczna w pracy, ale jest to silniejsze ode mnie samej – nic nie poradzę, że tyle wokół pomysłów! Sięgając pamięcią do dzieciństwa, początkowo pragnęłam w życiu dorosłym zostać pielęgniarką, a dołądnie położną, bo moja mama nią jest! Jednak szybko silniejsza



okazała się moja miłość do zwierząt (tak, miałam być lekarzem weterynarii). Ostatecznie wygrał pociąg do sztuki, piękna i szeroko rozumianej estetyki. Będąc już pewną siebie i w miarę „dorosłą”, wiedziałam, że moim powołaniem jest malarstwo, czyli byłam pewna, że chcę studiować malarstwo na ASP! Ale jak to często bywa – życie miało co innego w zanadru. Teraz za to maluję na ceramice. Glina i ceramika przewijały się w moim życiu często – gdy teraz o tym myślę, to nawet bardzo często, ale trzeba było czasu, aby wszystko się zgrało. To właśnie ma miejsce teraz. Wszystkie dotychczasowe doświadczenia życiowe procentują i przekładają się na inspiracje. Jeszcze podczas pobytu w Anglii zachłysłaliśmy się ceramiką Wedgwooda. Zakochaliśmy się w historii ceramicznego Stoke-on-Trent. Uwielbiamy kobałty ceramiki z Delft. Ceramika jest pasją, pracą, otacza nas zewsząd: od kafli, sprzętów codziennego użytku, przez specjalistyczną ceramikę elektrotechniczną itp., jest możliwością wyrażania siebie, a dla nas przede wszystkim jest naszą drogą przez życie. W tym wszystkim bardzo wspierają nas wspaniała rodzina i przyjaciele, za co jesteśmy im ogromnie wdzięczni!

O życiu mojej Mamy, Warmiaczki (1913-2007)

Agnieszka Schuchowska, moja Mama, była najmłodsza z jedenaściorga dzieci. Urodziła się w 1913 roku w Nagładach w gminie Gietrzwałd. Całe swe życie, dziewięćdziesiąt cztery i pół roku, spędziła na Warmii.

Wspomnienia z dzieciństwa

Przodkowie Mamy, o ile wiadomo, byli Warmiakami od pokoleń. Mieszkali w okolicach Gietrzwałdu. Ojciec, August, pochodził z Tomaryn. Pracował u okolicznych gospodarzy, a wolnym czasie z zamiłowaniem prowadził ogródek i sad na własne potrzeby. Matka, Justyna, pochodząca z Szelągowa, oprócz tego, że prowadziła dom i wychowywała dzieci, dała się poznać jako lokalna zielarka. Potrafiła leczyć za pomocą ziół. Ludzie ze wsi przychodzili do niej po lekarstwa. Dziadkowie mieli licznych gości jeszcze z innego powodu. August wypożyczał często od Samulowskich z Gietrzwałdu prasę w języku polskim. Zapraszał sąsiadów wieczorem do swojego domu, by czytać zgromadzonym, a po polsku nie każdy wtedy potrafił. Tłumaczył więc także gwarą i po niemiecku. Tym chętniej sąsiedzi schodzili się na te spotkania. Najczęściej August czytał „Gazetę Olsztyńską”. Po lekturze trwały długie dyskusje o nowinach. W domu na co dzień mówiło się po polsku z domieszką warmińskiego.

Mama już jako osoba w podeszłym wieku często i chętnie wracała wspomnieniami do swego dzieciństwa i przeżyć z domu rodzinnego. Często zadziwiała umiejętnością przypomnienia sobie tego, co działo się, gdy była jeszcze bardzo małym dzieckiem. Wspominała na przykład:

- Powrót swego ojca z wojny (I wojny światowej). Jako czteroletnia dziewczynka uczyła się od ojca wojskowych piosenek, np. *Jak to na wojence ładnie...*, *Ułani, ulani, malowane dzieci...* itp. Wspominała, że ojciec zabierał ją do znajomych, gdzie mała Agnieszka z chęcią śpiewała te piosenki, co spotykało się z zachwytem dorosłych, którzy oczarowani obdarowywali ją i ojca smakołykami.

- Plebiscyt w 1920 roku. Mama opowiadała, że nagle w okolicznych wsiach, jak i w samych Nagładach, osiedliło się wielu przyjezdnych. Miejscowi dziwili się temu. Nikt nie znał tych ludzi i początkowo nie domyślano się, skąd są i po co się tu znaleźli, aż przyszło do głosowania w plebiscycie. Przeciętny Warmiak nie wyobrażał sobie, że ci osiedleńcy będą dopuszczeni do głosowania na takich samych prawach, jak miejscowi. A jednak tak właśnie się stało. To wydarzenie na długo było później przedmiotem sąsiedzkich dyskusji. Oczywiście Niemcy wygrali, a za tym następowało zamykanie polskich szkół, konieczność posyłania dzieci do niemieckich placówek i godzenie się na to,

by wychowywano je tam w duchu ówczesnej niemieckiej pedagogiki. Język niemiecki stał się urzędowy. W wielu domach posługiwano się nieoficjalnie polskim. Każda rodzina zmagiała się ze swą tożsamością. Co ciekawe, w kościele w Gietrzwałdzie msze odbywały się w dwóch językach.

Gietrzwałd

Warmińska tożsamość to język (jedni nazywali go polskim, inni warmińskim), Kościół katolicki, polskie serce, zwyczaje i nadzieja, że Warmia kiedyś wróci do Polski. Dla ludności z Nagład i okolic dużą podporą była rodzina Samulowskich z Gietrzwałdu. U nich wypożyczano albo kupowano polskie książki i gazety, o czym już wspominałam. Pani Samulowska z cierpliwością wysłuchiwała ludzkich problemów i pomagała, jeśli mogła, a to dobrą radą, to lekarstwem, jeśli ktoś był ciężiej chory, a to ubrankami czy bucikami po własnych dzieciach obdarowywała rodziny w potrzebie.

Gietrzwałd zapisał się w pamięci Mamy jako miejsce, gdzie:

- Były polskie książki i czasopisma.
- Zakorzeniony był kult maryjny o prapolskim wydźwięku. W 1877 roku nastąpiło objawienie Matki Boskiej, która przemówiła w języku polskim.
- Tu, zawsze ósmego września, przyjeżdżali pielgrzymi z Polski, szczególnie z Kurpi.

Mama nie pomijała także tego, że gietrzwałdzki kler chciał wpływać na miejscową tożsamość i próbował namawiać ludzi raz na polską, raz na niemiecką stronę. Ludzie jednak wiedzieli swoje. Oni byli *hizyge* (tutejsi), jak sami mówili o sobie.

Z ciekawostek życia codziennego można dodać, że w okresie postu do wiosek, w tym do Nagład i Gietrzwałdu, przyjeżdżali rybacy ze śledziami. Atrakcją dla wszystkich był objazdowy cyrk, który co jakiś czas odwiedzał wsie i dostarczał wrażeń na długo.

Życie podczas wojny

W 1936 roku swatka poznała Mamę z Ojcem, Pawłem (pochodził z Malborka). Rok później pobrali się i zamieszkali w Nagładach. Wybuchła II wojna światowa. Ojciec musiał iść do niemieckiego wojska. Został sanitariuszem. Zbierał ludzi z pola walki. Mnie od dzieciństwa zastanawiała tajemnica jego wojskowej dyscypliny. Będąc na wojnie nieraz u granic wytrzymałości fizycznej, wypracował umiejętność dosłownie pięciominutowego snu, po którym był wypoczęty, jakby spał parę godzin. Kiedyś, jako dziecko, chciałam go zdemaskować, bo nie wierzyłam w ten pięciominutowy sen i sprawdzałam



z zegarkiem w ciszy, czy naprawdę ojciec spał tylko pięć minut. Ze zdziwieniem obserwowałam, że to pięć minut snu nie trwało chwili dłużej, niż powinno, a Ojciec wstawał zregenerowany i szedł dalej do swojej ciężkiej pracy. Nie znam nikogo innego, kto by tak potrafił.

W Nagładach na początku nie odczuwano wojny tak mocno, jak na innych terenach. Zauważano jednak nasilenie represji wobec tych, którzy wyróżniali się w jakiś sposób swoją polskością. Wychwalano wszystko, co niemieckie. Miejscowi mężczyźni siłą byli wcielani do niemieckiego wojska.

Moi rodzice mieli już troje dzieci, gdy zbliżał się radziecki front. Ludzie opowiadali o okropnościach, jakie spotykały ludność ze strony Rosjan. Każdy się bał. Gdy już było słychać odgłosy walk blisko Nagład, trzeba było uciekać. Po latach Mama wspominała, że stało się to nagle pewnego dnia, z zaskoczenia. Nie było wyjścia. Zostawiła w piecu piekący się chleb, chwyciła dzieci, coś do jedzenia, cokolwiek zabrała ze sobą i uprosiła sąsiada, żeby najmłodsze dziecko zabrał na swój wóz. Sama z dwójką starszych szła za tym wozem. Liczna grupa uchodźców podążyła wręcz na oślep, nie wiedząc, gdzie się kierować. Tak dotarli do Gołogóry (gm. Świątki), gdy okazało się, że dalsza ucieczka już nie ma sensu, bo wszędzie są Rosjanie. Na początku Mama nie wiedziała, co robić. Wrócić – strach, ale gdy rozległy się wokół nich strzały, było już obojętne, czy zginą gdzieś po drodze, czy w swoim domu. Zdecydowali się na powrót. W drodze byli atakowani, strzelano do nich. Zginęło wielu sąsiadów i znajomych. Ludzie kopali groby, gdzie się dało, żeby pochować ciała swoich bliskich. (Po wojnie próbowali odnaleźć te miejsca, ale nie byli już w stanie określić, gdzie dokładnie pochowali zmarłych.) Wracając z Gołogóry do Nagład wśród bombardowań, chcieli tylko przeżyć do następnego dnia.

W Nagładach zastały ich ogromne zniszczenia. Jedna z sąsiadek wyszła naprzeciw Mamie, żeby ją uprzedzić, że dom naszej rodziny został spalony. „Twojego domu już nie ma” – te słowa Mama wspominała później latami. Sąsiadka przygarnęła Mamę wraz z dziećmi do swojego domu, chociaż i u niej było już bardzo ciasno, bo wcześniej już kilka rodzin znalazło u niej schronienie. Później rodziny, które straciły domy, rozlokowały się po opuszczonych budynkach albo kątem u sąsiadów. Kto mógł, starał się jakoś pomóc poszkodowanym. Mama straciła wszystko. Była w rozpacz, jaką trudno sobie wyobrazić. Żeby nakarmić dzieci, musiała żebrać u ludzi o jedzenie.

W okolicy wszędzie byli radzieccy żołnierze. Raz jeden powiedział Mamie, że oni mają chleb i się podzielą, niech tylko do nich przyjdzie. Mama wiedziała, co to znaczy. Odparła: „moje dzieci nie będą jeść grzesznego chleba”. Żołdacy urządzili miejscowej ludności piekło.

Robili, co im się żywnie podobało. Znęcali się nad kobietami i młodymi dziewczynami. Ich okrucieństwo nie miało miary. Gwałty i napaści stały się codziennością, dopóki front się nie oddalił. Wiele kobiet i dzieci zginęło w tych strasznych okolicznościach. Młode dziewczyny były porywane. Nikt nie wie, co dokładnie się z nimi stało. Wiadomo tylko, że już nie wróciły.

Moja Mama do końca życia panicznie reagowała na samo wspomnienie o wojnie. Bała się dźwięku przelatujących samolotów i widoku wojska choćby tylko z telewizji.

Po wojnie

Koniec wojny nie oznaczał końca problemów dla miejscowej ludności. Nakazano używać wyłącznie języka polskiego, a przecież znaczną część ludzi znała tylko gwarę. Na tym tle dochodziło do licznych nieporozumień. Rdzenni Warmiacy, przed wojną uznawani za Polaków, teraz byli nazywani Niemcami (Szwabami, hitlerowcami itp.). Traktowano ich bardzo źle. Pomawiano o zbrodnie wojenne, przedstawiano napływowym jako wrogów, jako Niemców, którzy rozpętali wojnę. Ludność, która osiedlała te tereny, obwiniała Warmiaków za okropieństwa, których doświadczyli. Każdy każdego posądzał, ludzie wylewali na siebie swoje żale.

Wobec Warmiaków zaczęły się represje w urzędach. Metody ucisku, jakich Warmiacy zaznali na własnej skórze przed wojną od Niemców, po wojnie wróciły ze strony ówczesnych polskich władz. Warmiacy nie mieli żadnych praw. Ich dokumenty nie miały żadnej wartości. Ich nazwiska znieszczałano, żeby je spolszczyć, a nawet imiona zmieniano ludziom według upodobań urzędników.

Na Warmię przybywało wielu ludzi z Polski, szczególnie ze Wschodu. Zajmowali opuszczone gospodarstwa. Warmiacy byli straszni, że jeśli oni zajmą pusty dom, niedługo zostaną wygnani, bo wrócą prawowici właściciele. Rdzenni mieszkańcy czuli się tu szykanowani. Wiedzieli, że oczekuje się od nich, żeby się wynieśli. Wiele rodzin wyjechało w rozgoryczeniu. Nowi osadnicy różnie odnosili się do miejscowych. Byli wśród nich życzliwi ludzie, chcący żyć w przyjaźni z sąsiadem. Byli jednak też tacy, którzy mówili – co wspominała Mama – „teraz to jest nasze, a was, Szwabów, tylko powystrzelać!”. Wszędzie grasowali szabrownicy. Ludzie bali się już nie tylko o to, co ocalało po wojnie, ale i o życie. Strach spowodował, że co jakiś czas następowały fale wyjazdów. Ktoś namówił sąsiada, rodzinę i wyjeżdżał do Niemiec, a za nimi następni.

Jednak byli i tacy, którzy tu zostali na dłużej lub nigdy nie wyjechali. Do tych ostatnich zaliczała się moja Mama. Nieraz rozważała wyjazd,

ale gdzie? Mówiła, że jej miejsce jest tu. Gdy Ojciec wrócił z wojny, też nie chciał emigrować do Niemiec. Zostali na Warmii. Matka urodziła jeszcze troje dzieci (łącznie jest nas sześcioro).

Dalsze losy

Gdy Mama miała pięćdziesiąt lat, cała rodzina przeprowadziła się do Wrzesiny. Były lata 60-te. Przeżyliśmy szok, bo okazało się, że we Wrzesinie ludzie mówili po niemiecku! Nikt nam nie wierzył, że mieszkaliśmy tylko parę kilometrów dalej, w Nagładach. Mówili o nas „ci z Polski”. Z Wrzesiny wyjeżdżało mnóstwo ludzi. Musieliśmy ciągle uczyć się żyć z nowymi sąsiadami. Mama była bardzo zmęczona takim życiem.

Ja założyłam swoją rodzinę i na początku lat 70-tych przeprowadziłam się z mężem i małymi dziećmi do sąsiedniej wsi. Od 1977 roku Rodzice mieszkali z nami. Ojciec zmarł w 1983 roku.

Mama do wieku dziewięćdziesięciu lat była aktywną osobą ciekawą świata. Lubiła rozmawiać z ludźmi – z rodziną, z sąsiadami. Codziennie czytała „Gazetę Olsztyńską”, która obowiązkowo musiała być prenumerowana na jej życzenie. Czytała również inne gazety, także książki. Oglądała telewizję, pisała dużo listów. Korespondowała po polsku i niemiecku ze swoim rodzeństwem i dalszą rodziną, która rozproszyła się po Polsce, Niemczech i Australii. Na co dzień starała się mówić poprawnie po polsku, ale jej język do końca zachował gwarowe naleciałości.

Z wiekiem traciła siły i zaczęła żyć wspomnieniami. Do końca chciała jednak być samodzielną. Starła się zachowywać swe codzienne zwyczaje czytania i oglądania wiadomości oraz pielęgnacji kwiatów, które kolekcjonowała i doglądała z zamiłowaniem. Opowiadała nam wiele razy te same historie ze swojego życia, a wszystkie te wspomnienia dotyczyły Warmii – całe życie mojej Mamy tu się dokonało.

Mama zmarła w wieku dziewięćdziesięciu czterech i pół roku. Żegnana licznie przez znajomych, sąsiadów, także tych dawnych, została pochowana we Wrzesinie.

Gdy dziś wracam do swoich wspomnień z domu rodzinnego, widzę, jak wiele wspomnień nam ucieka. Teraz żyjemy na Warmii już bez rdzennych Warmiaków.

10 marca 2014 r.

M.K.

Monika Stępień

Kiedy będę niebrzemieną, starą
jesienią, dalej
będę mogła dla Ciebie rozkwitać?
Liście mi obwisną i pąk
już nie ten, może
i dalej głodny wody, ale jakoś mniej
kwiecisty i kuszący.
Gałęzie sterczą na wszystkie strony,
szargane przez wiatr, lata
nie tak gorące, beztroskie, wiosny
wybuchy gorąca, poty
zimne, wieczory zimowe zbyt
długi, marudny list. Zobacz,
my,
liter szyki, długie
lata,
a na świecie są wciąż tylko cztery pory roku.

POJĘCZYNY

Jest coś niespokojnego w tykaniu zegarów
w moim domu.

W rytmie zalewa mnie nerwowo tik, tak
jakoś rozstraja wewnętrznie na dwa.
Coś rozczarowuje z minuty na minutę,
z mi nuty nie znanej na znaną mi nutę.
Zatkane uszy, palcami do wskazywania,
w skazy, urazy nie do wytrzymania,
razy pi erwsze, razy pi drzwi,
zatkane uszy, za tkane nitkami chwil,
poję-czynami myśli.



Fale dźwiękowe

Z
wr
aca
m
gł
owę
w
tw
oją
s
tr
onę
a fale
dźwiękowe
mojego głosu
odpychają
mnie od
cie
bi
e.

Piję Twoje zdrowie, zagłuszając myśl, że mogłabyś zgubić drogę
do jego domu, wracając do mnie. Kroków zbyt wiele
niezamierzonych. Spojrzeń głębokich, twych
ust blady smak. Mój ulubiony
zatłoczony bar.

Szept
niosę
tobie,
miraż
-owy
jawy
blask.

Co ciebie zgubi, co zgubi nas.

Mariusz Sadowski

Powroty

Szukałem ludzi ciszą majową
Polonez g-moll 1817
Noc ... ślepa tańczy
skoczna... zwariowana?
Stop!

już nie dla mnie...
za późno niestety.
Widziałem pod rzęs balkonem
Noce białe, białe noce w sukni białej.
I sił zabrakło by
wskrzесиć ostatnią z chwil
...nienazwaną.

Nie-koniec

Nieporadnie starzec,
Trzymając laskę w swej dłoni,
Próg pragnie przeskoczyć.
Motyl? Ćma
W świetle śmierci szuka.
Ślepy... głuchy.
Jesteś?...

...już cię niema,
człowiecze.

Słyszysz? krzyk!... dziecko?
Boże mój kiedyś byłem tym chłopakiem
Ściskającym tak jej dłoń...

M (a) je i nie

Dłonie wyciągają w geście tęsknoty
Ślad na śniegu stóp
Odchodzący, pijany wiolonczelista
Czekam choćby bzów zapachu
Przeszłych... majowych.

Tadeusz Pfeiffer

IREK BETLEWICZ

wspomnienie

Zawsze dziękuję Bogu za ludzi, którymi mnie otacza. Od wielu lat tak się składa, do takich ludzi się garnę albo im błogosławię. Takim był, ba – jest dalej, mój długoletni Przyjaciel Irek Betlewicz. Postać nietuzinkowa. Człowiek raczej osobny, człowiek raczej spokojny, raczej skoncentrowany na swoim duchowym „wnętrzu”, człowiek jednak różniący się od otoczenia zewnętrznego. Jedyne, co cielesne, to jego „bryka”, w której zawsze miał oparcie. Jeździł nią – ba, jak trzeba było, to nawet pokonywał drogę na Księżyc. Był wszędzie tam, gdzie go potrzebowałem. Jeździł, a ja z nim, bo był mi bardzo bliski jako twórca i przyjaciel. Nie zapomnę nigdy mojego „gadulstwa” na wernisażu wystawy, którą mu wraz z Grażyną Wuls w Galerii w Warszawie zrobiłem (no, powieście). Wydarzenie było wielkie. Mówię o tym, bo wspominam to z czułością. O Jego twórczości literackiej niech się wypowiadać zaczęją inni znawcy.

Chcę mówić o dziele Jego ust, które służyły Mu za jego ręce. Tworzył wiele – smutnych, refleksyjnych, doskonałych w formie prac na papierze. Odzwierciedlały Jego duchowy stan. Był mi też z tego powodu bliski, bo ja robię to samo od lat 40 i więcej. Jechaliśmy na tym samym „wózku”. On dosłownie i w przenośni, ja tylko w tym symbolicznym znaczeniu.

Złożyło się 1 kwietnia, że ja, krótko – w kilka chwil, po wybudzeniu z narkozy dostaję informację, że parę minut temu odszedł mój kolega Irek. Zbyszek Charubin mi to powiedział. Cóż robić? – płakać czy się cieszyć. Jasne, że się ucieszyłem, bo na kilka chwil byłem z Nim, kiedy mówiliśmy, że chyba czas na mnie, że to poboli, że to niepokoi, że mógłby już odejść. Odszedł, tak jak chciał. Pięknie uśmiechnięty w czerwonym szaliku, takim, jaki ja też mam. To, że odszedł, nie znaczy, że go już nie ma. To, że leży 2 metry pod ziemią, to przecież nie jest moją beznadzieją, że i ja też tam będę. Wszyscy, do jasnej cholery, musimy się kiedyś określić i złożyć swoje „ciałka” tam...

Ciągle chce mi się powiedzieć o Irku coś śmiesznego, choć on takim bywał bardzo rzadko. Jego pełna sarkazmu, ironii, czy niedomówień postawa życiowa była jakby u wylotu takich rozstajnych dróg, że mało

kto o tym mógł wiedzieć. Irek cierpiał, ale tego okazywać głęboko nie chciał, bo zmagał się z dużą troską o formę w treści i literackiej, i malarskiej. Aby stworzyć choćby jeden mały cykl, który „zawsze” robił do pary, musiał rozstrzygnąć, jaka forma tego, co zacznie, będzie najbardziej zbliżona do jego założeń. Działał jak kompozytor, który najpierw widzi dzieło w głowie, a dopiero potem tworzy jego zapis. Irek mawiał, że nie ma czasu na pomyłki, że przy jego specyficznej technice tworzenia nic nie można poprawić. Jedna źle postawiona kreska i cała praca na marne. W akcie tworzenia był perfekcjonistą. Jego refleksje były prawie zawsze z podtekstem. Poezja to były stany Jego uniesień. Jego praca dla niewielu w środowisku była czytelna. Małe pozornie prace (miniatury) to wcale nie znaczy, że są „małe”. Czasami 3-4 kreski, a dzieło gotowe. Czasami tych kreseczek, krótkich pociągnięć pędzla w jednym obrazie były setki. Operował najprostszą formą. Czerń i biel, czasami podkreślał swoje prace kolorem, czasami dopełniał formatem i tak mu to „szło”. Robił dzieła wielkie, robił dzieła i mniej ważne. Proszę mi pokazać takiego „faceta” w środowisku, który tak głęboko, przenikliwie ilustrował swoją wizję upadku, przenikania, wchodzenia w świat refleksyjnego wydarzenia, jakim jest wyobraźnia. Jego rola dla Ostródy była wielka. Miał tu nieliczne grono dobrych znajomych, którzy doceniali jego twórczość, ale i też liczne grono znajomych, którzy go raczej nie zauważali – bo cóż „facet na wózku”. Facet na wózku, a omnibus światowy, pełen wyróżnień, pełen nagród gdzieś ze świata. A co w Ostródzie? – leży i jest dla mnie żywy poprzez to, co zostawił po sobie. Zostawił na szczęście w swoim domu pełen pokój prac, które mu ostatnim razem za życia posortowałem i opisałem. Mam nadzieję, że dane mi będzie zając się w Jego imieniu ich prezentacją. Takie były plany. Stan się nieco „przemienił”, ale trwać będzie, bo mam nadzieję, że jedyna córka Ewa, na szczęście „od kultury”, też się w ten sposób może włączyć w moje plany, które po niedługim czasie zaczną się materializować. Zapraszam na pokaz wybranych prac Irka w Szczytnie z okazji XVI Przeglądu „Małe jest piękne”.

Olsztyn, 11 czerwca 2014 r.

Ireneusz Betlewicz

płodny cień wieczności

pyli włosy dnia białość
na twarzy strumienie starości
ze świtem strach pasiasty

usypiasz objęty myślą samą
bezzębny zegar tyka
kolejne zmarszczki ryje
kamień przydrożny nie omija

jesienny sieje mnie wiatr
obejmuje dłońmi chłodnymi

pętlą mnie wątpliwości
obok młode fale jeziora
bezsłowie z ust wyjmując
wcałowując sytość powietrza

drzwi domu na oścież otwarte
ścieżka doń wiedzie kręta

przez kraty palców wiotkich
wyczuwam czyjeś spojrzenie
codzienności poranne
budzą uśmiech poszczerbiony

w tłumie obojętnych spojrzeń
wśród łąk wiatrem owianych
w lasach ścieżek pajęczych

spojrzenie tęsknie pulsuje
dotyk dłoni poszukujący
usta w nieśmiałym uśmiechu

gorzka ma niewiara węsząc
z nadzieją wyszła na spacer
ja u progu z kubkiem mleka



Il. Ireneusz Betlewicz

Tryptyk znad Łyny

Iwona Bolińska-Walenzik: Co skłoniło Was do sięgnięcia do legend Marii Zientary-Malewskiej?

Aniela Smoczyńska, producentka: Projekt „Warmińska Wstęga, czyli Tryptyk znad Łyny” realizowany przez nasze Studio Ruchome Obrazki oparty jest na legendach napisanych przez Marię Zientarę-Malewską. Jest to ich filmowa adaptacja. Naszą ideą było zaangażować wybrane trzy legendy z tomu *Baśnie znad Łyny*. Ułożyliśmy je w tryptyk, którego motywem przewodnim jest właśnie Łyna. Ta rzeka jest łącznikiem. Przechodzimy od jej źródeł, przez Olsztyn i tereny na północ od miasta. Zanim doszło do pracy nad adaptacją, odbyłam rozmowy z panią Marią Surynowicz, bratanicą autorki i jej spadkobierczynią, która wyraziła zgodę na zaangażowanie tych dzieł. To było dla nas bardzo ważne, bo nie chcieliśmy tworzyć nowych legend, tylko chcieliśmy dać nową jakość już istniejącym utworom. Jak ktoś czytał Marię Zientarę-Malewską, lubi jej legendy i jeszcze zna topografię Warmii, tutejsze nazwy geograficzne, to wie, że z dużym znawstwem autorka poruszała się po tym terenie w swojej literaturze. Wplatała konkretne miejsca do utworów, próbowała dociec pochodzenia nazw: jezior, rzek, miejscowości. Ta jej działalność ma według nas

niesamowitą wartość. Stąd też zapał, aby ożywić legendy za pomocą animacji filmowej.

I.B.-W.: Kto jest obiorcą Waszej produkcji?

A.S.: Nasz projekt kierowany jest do dzieci młodszych 4-7-letnich. Animacja, którą zastosowaliśmy, może trochę zaskakuje dorosłych, ale percepcja dzieci jest inna. Chcieliśmy powołać do życia papierowe postacie i w ten sposób wskrzesić legendy. Oczywiście proste, wycięte z papieru postacie to podstawa tych animacji. Jednak nasz świat jest bardziej skomplikowany. Animacja poklatkowa jest tylko punktem wyjścia. W bajkach jest mnóstwo efektów świetlnych – zabawy ze światłem i cieniem, które wykonane są ręcznie, analogowo, na przykład przy użyciu lampki. My obserwujemy, jak dzieci reagują na ten świat. To zachowanie pozwoli nam stwierdzić, czy zdaliśmy egzamin. Chcieliśmy też pokazać, że taki rodzaj animacji jest w zasięgu ręki dziecka i z pomocą dorosłych może spróbować ją wykonać. Może kogoś te filmy zainspirują do własnej twórczości?

I.B.-W.: Jakiego wsparcia potrzebuje taki projekt?

A.S.: Nasz projekt zyskał bardzo dobrą ocenę Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, do którego go zgłosiliśmy. Instytut wspiera



Kadry z filmu *Warmińska Wstęga, czyli Tryptyk znad Łyny*. Reż. Adam Smoczyński

inicjatywy filmowe, zwłaszcza opierające się na twórczości regionalnej, pobudzające kulturę danego regionu. Naszym partnerem w realizacji projektu jest też Miejska Biblioteka Publiczna w Olsztynie. Dla obu stron jest ważne, aby książki ożyły. Adaptacja legend to dla nas punkt styczny. Wcześniejszy projekt „Antologia warmińska” przygotowany razem z MBP w Olsztynie był jakby zaczynem do tego, co powstało teraz. Zobaczyliśmy, że tego typu działanie było wartościowe i postanowiliśmy poszukać innych źródeł współfinansowania, tak aby mieć środki na realizację kolejnych pomysłów. Nasz region jest ubogi w działania filmowe, nie tylko chodzi o filmy animowane. My się cieszymy, że ten projekt udało nam się ostatecznie zrealizować, ponieważ najważniejszy jest dla nas młody widz i to, że wpływamy na jego edukację. Może poszerzymy jego wiedzę na temat Warmii? Nasz projekt nastawiony był również na podkreślanie wartości regionalnych, które można uwspółcześnić, nadać im nowe życie. Jest to pierwsza próba ożywienia legend stąd. Naszym partnerem były również Lasy Państwowe, ponieważ tłem legend jest las. Maria Zientara-Malewska pięknie opisuje go i jego mieszkańców, stąd wielkie zainteresowanie naszego partnera i stąd premiera plenerowa w właśnie w lesie. Opisy przyrody Marii Zientary-Malewskiej są tak obrazowe, że kiedy na chwilę zamkniesz oczy, można wyobrazić sobie te lasy, jak wyglądały kiedyś. My oczywiście z opisów przyrody zrezygnowaliśmy na rzecz obrazów, które wstawialiśmy na ich podstawie. Legendy Zientary-Malewskiej zawierają w sobie również wątki z innych legend, np. pojawiający się przed św. Jakubem jeleni z krzyżem w porożu. Może został zaczerpnięty z legendy o św. Hubercie, patronie myśliwych? Legendy te również składają do refleksji. Dziś już na naszych terenach nie ma niedźwiedzi i wielu innych gatunków fauny i flory. Przychodzi też refleksja, że wszystko przemija, czasami bezpowrotnie.

I.B.-W.: Przejdźmy do szczegółów, czym jest „Warmińska Wstęga” pod względem formalnym?

A.S.: „Warmińska Wstęga” to trzy dziewięćminutowe bajki, tryptyk. W pierwotnym były dłuższe, ale ze względu na lepszy odbiór skróciliśmy je. Plastyka bajek jest surowa, to proste formy wycięte z papieru. Nie chcieliśmy iść w standardowy trend, postawiliśmy na indywidualność. Ta surowość idzie w parze z klimatem legend, jest prosta w wyrazie. Prostota tej plastyki nawiązuje też do tradycji wycinanki ludowej. I tak samo oszczędny jest ruch animowanych



obiektów. Animacja jest powściągliwa, można powiedzieć – oparta na minimalizmie. Ruch tu ma pewne symboliczne znaczenia.

Ale film animowany to również język mówiony. Trochę modyfikowaliśmy teksty, przede wszystkim skracaliśmy oryginał, wszystko poza tym jest autentyczne. Uproszczone, ale ogólnie zachowany został język literacki autorki. Nie chcieliśmy go bardziej upraszczać, chodziło o to, by zostać przy frazach, sformułowaniach charakterystycznych dla języka tych legend. Lektorami są dzieci. Był to dla nas eksperyment, zastanawialiśmy się, czy dzieci, które czytały, rozumieją tekst i będą umiały go zinterpretować. Udało się.

Co do muzyki w produkcjach filmowych, w filmach animowanych jest ona zazwyczaj tłem. Tu przy tym projekcie współpracował z nami Jarek Kordaczuk, który poszedł dalej, stworzył muzykę, która – tak jak on – jest stąd, są więc w niej elementy również etniczne, mogące przypominać odgłosy przyrody. Muzyka przebija się przez obraz, co jest ciekawym i niestandardowym zabiegiem jak na film animowany.

Za naszą bajką idą działania warsztatowe, już kilka zostało przeprowadzonych m.in. w Elblągu. Warsztaty spotkały się z dużym zainteresowaniem, było wielkie wow! dzieciaków. Na tych zajęciach mogliśmy przetestować, czy dzieci są w stanie zrobić animację poklatkową. Zaskakiwały nas swoją pomysłowością i sprawnością na każdym kroku.

I.B.-W.: Czym jest dla Was ta realizacja?

A.S.: Dzisiaj świat idzie w multimedialność. Reżyser i animator, Adam Smoczyński, chciał pokazać, że artyści stąd mogą inspirować się lokalną kulturą i działać nowocześnie, przekraczać granice, sięgając właśnie do korzeni. Nam się udało, cieszymy się z projektu i z tego, że tu mieszkamy. „Warmińska Wstęga” jest naszą formą powiedzenia – jesteśmy stąd.

Warmińska Wstęga, czyli Tryptyk znad Łyny

Scenariusz i reżyseria: Adam Smoczyński

Animacje i projekty plastyczne: Paweł Kurylak, Adam Smoczyński

Asystenci: Piotr Bukowski, Alan Pyrczak

Muzyka i dźwięk: Jarek Kordaczuk

Lektorzy dziecięcy: Weronika Kordaczuk, Janusz Kotik, Eulalia Kołakowska

Głos w tytule: Basia Ratuszkiewicz

Produkcja: Aniela U. Smoczyńska



Zbigniew Chojnowski

Lamentarz

Poezja jest ujawnianiem życia nieujawnionego. Tej idei dochowuje wierności Kazimierz Brakoniecki także w książce poetyckiej *Chiazma*.

Tytuł pochodzi z podręczników retoryki: „chiazma” jest figurą retoryczną, polegającą na odwróceniu symetrii dwóch całości składniowych, z których druga powtarza szyk zdania, ale w odwrotnej kolejności. Można by powiedzieć mniej formalistycznie: jest powtórzeniem czegoś inaczej, w inny sposób. W starogreckim słowo *chiasmós* to po prostu „ułożenie na krzyż, skrzyżowanie”.

Książka Brakonieckiego jest mówieniem inaczej o sprawach, które trapią, bolą, przerażają, unieszczęśliwiają i uszczęśliwiają, krzyżując poetę od początku jego świadomej drogi. Wspomnienia kilkuletniego chłopca stykają się z doświadczeniami zbliżającego się do sześćdziesiątki mężczyzny, pamięć o pobożnym dzieciństwie z trwogą przed pośmiertną bezbożną nicością, niesione od zarania lęki egzystencjalne z akceptacją istnienia, poddanego bezwzględnemu przemijaniu i ostatecznemu wyzerowaniu.

Żaden poeta nie może, jak się wydaje, napisać kolejnego tomiku wierszy, który byłby całkiem inny od poprzednich. Toteż w *Chiazmie* Brakonieckiego znajdują swoją kontynuację znane z jego wcześniejszej poezji: przemyślenia nad totalitaryzmem, rozrachunki z matką i ojcem, wadzenie się z Bogiem, czy epifanie w potoku codzienności lub w trakcie zatrzymań w podróży przez krajobraz.

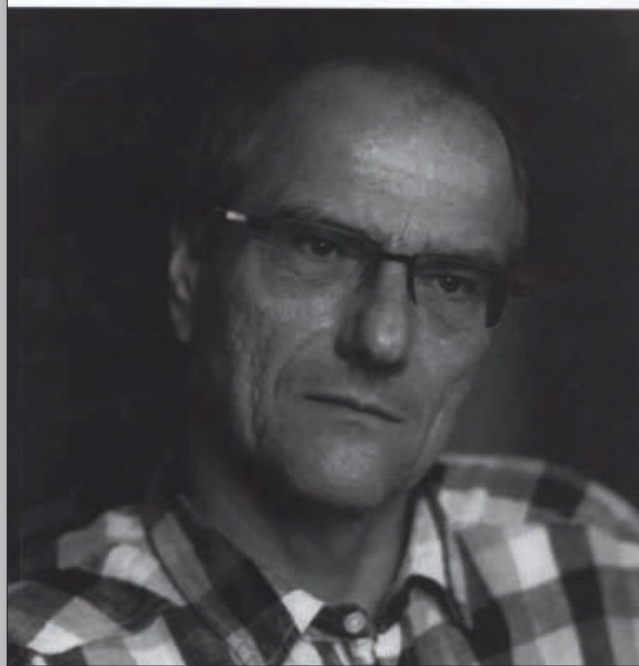
A jednak nowe wiersze są rzeczywiście nowe, przenika je bowiem aura XXI wieku, kształtowana przez przemoc mediów, masowy i wciąż rozszerzający się konsumpcjonizm, coraz płytsze życie wewnętrzne, atrofie wyobraźni historycznej, rozpad więzi społecznych itd.

W *Chiazmie* różnorodność tematyczna dyktuje pragnienie syntezy, która staje się lamentem-testamentem. „Lamentowanie” Brakonieckiego biorę, na wszelki wypadek, w cudzysłów, gdyż jego „lamentarz”, zbiór lamentów wyłamuje się z tradycyjnych wyobrażeń wyrażania żalu. Lament to wiersz-płacz, to opłakiwanie śmierci i klęski. Łzy Brakonieckiego są bardzo głęboko schowane, objawiając się w postaci zobrazowanych i zintelektualizowanych uczuć. Dojrzałość odrzuca blichtr łatwych emocji, zostaje naga prawda, czyli marność i unicestwienie. Nie znaczy to, że poeta jest piewą nihilizmu, choć mogłoby się wydawać, że ciążył i ciąży ku niemu od wielu dziesiątek lat. Nic podobnego. Otwieranie w poezji przepaści egzystencji, historii, religii, filozofii, państwa jest zawsze okazywaniem doświadczenia, które w istocie jest przestrogą przed zamienianiem się tego, co piękne, dobre, prawdziwe, w swoje upokarzające i krwiożercze przeciwieństwa.

Przewycięzanie nihilizmu w sobie, a więc w swoim języku, przeżywaniu, we własnej uczuciowości, w postrzeganiu siebie, idei,

Kazimierz Brakoniecki

Chiazma



krajobrazu, jest trwałą dyspozycją wyobraźni etycznej Brakonieckiego. W *Chiazmie* nabiera ona barw, które wynikają z poczucia odzyskiwania utraconych, zapomnianych, czy też wypieranych, a zmartwychwstających, uczuć. Pamiętam frazę z któregoś z pierwszych tomików poety: „człowiek który przestał czuć przestał znaczyć”. Ta myśl i mieszcza się w niej postawa, styl życia powraca w dojrzałym niepokoju, w którym jest miejsce na proste i mocne uczuciowe relacje z umarłymi i żywymi. Uznanie własnej śmiertelności sprawia, że nie zamienia się ona w skowyt nad sobą, w mściwość, złość, w rozszalałą żądzę obwiniania. Trumienne i grobowe klimaty i tematy przenikają się z radością z rodzinnego spotkania w miejscach realnych lub w pamięci.

Brakoniecki staje na granicy tego i tamtego świata, chyba częściej niż kiedykolwiek obserwując bieg czasu jakby z perspektywy „drugiej przestrzeni”. Wyostrzenie wzroku duchowego, a jednocześnie etycznego, to nieustająca praca poety.

Kazimierz Brakoniecki, *Chiazma*, Sopot 2013.

Autor za książkę otrzymał w II edycji Nagrody im. K.I. Gałczyńskiego ORFEUSZ MAZURSKI za najlepszy tomik poetycki wydany w 2012 roku.

Tik! Tak!

W starym kościele w maleńkiej wiosce stał zegar. Był to bardzo stary zegar, stojący tam jeszcze sprzed czasów wojny. I jak to stare rzeczy do siebie mają, nie sprawował się zbyt dobrze. Czasami chodził za szybko, czasami za wolno. To się śpieszył, to się spóźniał.

Bim! Bom!

I bił nie o tej porze, co trzeba. Czasami w środku mszy, a czasami kilka minut po północy. On miał swój czas, albo był poza nim.

Wierni często podchodzili do niego i ustawiali właściwą godzinę. Jedni narzekali, że takie stare zegary nie powinny już stać w kościołach, a inni cicho mówili o zegarmistrzu. Tak czy inaczej, nikt z zegarem nie robił nic i stał on sobie, to się spóźniając, to się śpiesząc.

Tik! Tak!

Nie, to nie był zwykły zegar. Nie dla mieszkańców tej wioski. Zauważył to młody ksiądz, który przyjechał do tej parafii, by zastąpić starego proboszcza.

Z początku tylko dziwił się, że ten zegar wciąż stoi w kościele, choć jest prawie zepsuty. A potem zauważył... Zauważył tę cichą, potajemną wiarę i nieśmiałe przesady.

Przyjdź o północy do kościoła i odwróć się tyłem do ołtarza. Nie patrz na Zegar. Zamknij oczy i zrób trzy kroki do przodu.

Raz, dwa, trzy.

A potem wypowiedz życzenie i policz do trzech.

Raz, dwa, trzy.

I odwróć się!

Ile będzie pokazywał zegar, tyle lat musisz czekać na spełnienie swojego życzenia.

Jeżeli zabije, gdy się odwrócisz... Spełni się!

Tik! Tak!

W noc przesilenia podejdź do Zegara. Bądź sama w kościele. Stań prosto przed nim i zamknij oczy. I czekaj... Gdy uderzy, nie otwieraj oczu. Gdy skończy bić, spójrz prosto w jego zaszkloną tarczę. W szkle zobaczysz odbicie ukochanego. A potem uciekaj.

I nie otwieraj oczu podczas bicia jego pełnej godziny. Za nic w świecie nie otwieraj!

Tik! Tak!

Jeżeli jesteś w lesie i słyszysz jego bicie, zatrzymaj się i zrób znak krzyża. A potem uśmiechnij się. Do niego. W stronę kościoła, gdzie stoi. I połóż trochę jagód lub grzybów dla niego, by się nie pogniwał.

Bim! Bom!

Młody ksiądz był zdegustowany tym dziwnym pogańskim bóstwem, które wieśniacy widzieli w zegarze. Zauważył, że gdy podchodzą, by ustawić na nim poprawną godzinę, robią znak krzyża. Tak jakby podchodzili do ołtarza!

Tik...

Ksiądz zniszczył zegar. Wyniósł go z kościoła i spalił. Powiadają, że gdy płomienie ogarnęły jego stare rzeźbione drzewo, mimo iż nie pokazywał pełnej godziny, zaczął bić.

Bim! Bom!

Cisza. W wiosce zapadła cisza. Nikt nie powiedział księdzu słowa sprzeciwu. Jednak wszyscy widzieli pustkę po lewej stronie ołtarza. Tylko że...

Zauważył to nie od razu, ale potem, przyglądając się i przysłuchując im raz po raz, zobaczył to... Ciche, niewidzialne gesty. Spojrzenie ciut w lewo od ołtarza, w puste miejsce, gdy się przy nim kłękało. Niezauważalny znak krzyża, gdy przechodziło się tuż obok tego miejsca. Staruszka, który laseczką kreślił na kamiennej podłodze kościoła koło i dwie wskazówki. Chłopca, który zamiast „amen”, szeptał „tik! tak!”.

Oni wierzyli w niego. Widzieli więcej Boga w zegarze niż w krucyfiksie. I dla nich po jego spaleniu on wciąż istniał – w ich pamięci, w myślach, w gestach. Bo nie ma nic silniejszego niż ludzka wiara. A gdyby ksiądz zastanowił się, wiedziałby, że Bóg jest wszędzie, nawet w tym starym zegarze. Zegarze, który stanowił Jego metaforę – bo był poza czasem, tak jak i On.

I powiadają, że czasami w nocy (nigdy o pełnej godzinie) słychać bicie Zegara. Dochodzi z kościoła.

Bim! Bom!

Jeżeli je usłyszysz, uciekaj! Ale najpierw uczyni znak krzyża.

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Tik! Tak!

Elżbieta Boniecka-Milowicz

KURtura

Absolwentka Wydziału Architektury Wnętrz i Wzornictwa Przemysłowego PWSSP w Gdańsku. Malarstwa uczyła się pod kierunkiem prof. Kiejstuta Bereźnickiego. Projektuje wnętrza, maluje i rysuje. Laureatka nagrody Prezydenta Miasta Olsztyna (2008), odznaczona odznaką honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Moje credo

Czerń i biel, walory szarości.

Kolor.

Uważna kreska.

Miękko, chwilami drapieżnie.

Różnie. Człowiek.

Nie na niby.

Z serca.



Jak to kura?!

Elżbieta Boniecka-Milowicz sprowokowała mnie swoją ostatnią wystawą pod tytułem „KURtura”.

Jak to kura?! A jednak!

Już najwięksi mędracy tego świata od wieków zastanawiali się nad tym, co było pierwsze – jajo czy kura...

Ela Milowicz zmusiła i mnie do głębszych przemyśleń. Pospolita kura, banalne tematy, proste rzeczy przetworzone przez wyobraźnię artysty stają się pretekstem do kolorowego malarstwa z bogactwem koralików i koronek, drapieżnego, zadziornego rysunku. Na ileż sposobów można podać taką zwykłą kurę?

Ela Milowicz przedstawia ją jako roztrzepaną, kokieteryjną trzpiotkę, stateczną matkę i opiekunkę. Właśnie ta kura przeradza się w szlachetnego, królewskiego ptaka z elementami kobiecego ciała, unoszącego się, odlatującego, aż w końcu przeradzającego się w Anioła. Ten Anioł nie jest zajęty wyłącznie swoją anielskością. On walczy o coś, o kogoś, ekspresyjnie wiruje w tańcu – a przecież to jest to, co lubię najbardziej.

Iwona Pavlovic

Dlaczego kura?

Kiedy pokazałam publicznie cykl pt. „KURtura”, pytaniem najczęściej zadawanym przez dziennikarzy było: dlaczego kura?

Moja, niezbyt wylewna, odpowiedź brzmi: a dlaczego nie? Wszystko to, co nas otacza, również to, co przeżywamy i co zrodzi się w naszej wyobraźni jest pretekstem do twórczości. Istotą jest sposób przekazu, w jaki wyrazimy swoje przeżycie, swój problem lub przedstawimy zwykłą rzecz. Kura jest prowokacją, w jej banalności, zwykłości jest ogrom przesłań. Na przykład jajo, które kura znosi, staje się początkiem życia, symbolem instynktu opiekuńczości i macierzyństwa. Kwoka symbolizuje nadopieczunkczość, kogut prokreację... Można się długo na te tematy rozwodzić...

Czyli malowanie kury jest zasadne, stanowi ona temat, mimo pozornej błahości, niebanalny. Kura jest też po prostu pięknym ptakiem.

Tak naprawdę tematem mojego cyklu jest PTAK – jego bogactwo formy i koloru, które dla mnie symbolizuje wolność. Temat ten jest niezwykle inspirujący, można przetwarzać go na wiele sposobów, w zasadzie w nieskończoność.

Ela Milowicz



Małgorzata Sieniewicz

O książce Tomasza Cichockiego *Zew oceanu*

Któż z nas, mieszczuchów, zagonionych pracoholików, notorycznych kredytobiorców, sfrustrowanych konsumentów, nie pragnął choć raz w życiu podążyć za szalonymi marzeniami, zrobić coś na pozór niemożliwego, szalonego, wbrew rozsądkowi?

Pewnie wielu z nas...

A ilu decyduje się na ryzykowne kroki, stawia na niepewnego konia, będąc bez pracy i bez pieniędzy, zaczyna zdobywać miliony na podróż dookoła świata?

Pewnie niewielu, może prawie nikt...

I to właśnie nam – nieśmiało pielęgnującym niespełnione marzenia i wiecznie odkładane plany – pozostają takie książki jak *Zew oceanu* Tomasza Cichockiego, człowieka z Olsztyna, który najpierw pływał po Krzywym i Wadągę, by po latach, w 2011 i 2012 roku, cała Polska mogła śledzić losy jego samotnego rejsu dookoła świata na niewielkim jachcie „Polska Miedź”. Gdy jeden człowiek dokonuje tego, na co innym brakuje środków bądź odwagi, zawsze znajdzie się wielu chętnych, by posłuchać relacji samotnego wędrowca.

W ubiegłych latach podczas wygłaszania laudacji na temat tytułów uhonorowanych Literacką Nagrodą Warmii i Mazur członkowie kapituły niejednokrotnie przywoływali inne literackie laury przyznane wcześniej autorom nagradzanych Wawrzynem książek. W przypadku tegorocznego laureata do dziś był on dla nas głównie Żeglarzem Roku, zdobywcą Srebrnego Sekstantu – najbardziej cenionej nagrody środowiska żeglarskiego, „rekinem w ludzkiej skórze” – jak w epilogu książki pisze o swoim mężu Ewa Cichocka.

Mówić jednak wyłącznie o samotnym, pełnym wyzwań rejsie – to dostrzegać tylko część prawdy. To wielce niesprawiedliwe wobec literatury, z którą za sprawą tego rejsu mamy do czynienia. Bowiem *Zew oceanu* to z jednej strony zapis niezwyklej przygody, książka, w której mnóstwo się dzieje – wraz z Tomaszem Cichockim dwukrotnie w ciągu dwóch kolejnych dni obchodzimy Nowy Rok, mijając Międzynarodową Linie Zmiany Daty, obserwujemy kolosalną kałamarnicę o piętnastometrowych ramionach, żeglujemy w mgłę gęstą „jak futro polarnego niedźwiedzia”, gdy nie jesteśmy w stanie dostrzec nawet dziobu własnej łodzi, na oceanie indyjskim przeżywamy sztorm za sztormem, wywrotkę jachtu, awarię sprzętu. Z drugiej jednak strony *Zew oceanu*



to z pewnością jedna z najlepiej napisanych i najciekawszych polskich książek podróżniczych ostatnich lat.

Dziś, gdy w daleką, egzotyczną i ekscentryczną podróż może wybrać się niemal każdy i właściwie każdy może o niej napisać, tym mocniej należy docenić wartość książki Tomasza Cichockiego. Niezwykle celnie określiła tę istotną różnicę jedna z recenzentek, Anna Solak: „W przypadku tego typu literatury odwaga zazwyczaj rozmija się z talentem. Nie każdy potrafi pisać książki, podobnie jak nie każdy odważy się na samotne opłynięcie globu. Tym razem mamy do czynienia z wyjątkiem od reguły. Cichocki pisze sprawnie, wciągająco i autoironicznie. (...) Nie ma tu żadnej dłużyzny, żadnego zbędnego fragmentu. Każda myśl i wspomnienie są na miejscu i w porę, by w całości opisać rejs, którego większość z nas nigdy nie doświadczy. Chyba że właśnie za pomocą tej książki. Proza lekka i mocna zarazem. Lekka, bo żeglarz prócz panowania nad sterem panuje także nad piórem. Mocna, bo wszystkie przygody, jakich doświadczył, i wszelkie trudności, jakie udało mu się pokonać, (...) to naprawdę mocna rzecz”.

Ja umieściłabym *Zew oceanu* w nurcie światowej literatury faktu, tworzonej przez ludzi, którzy porzucają na pewien czas swoje dotychczasowe, często dość wygodne życie i wyruszają w podróż, która przeistacza się z wyprawy w sensie geograficznym w wyprawę w głąb siebie. W tym samym roku, co *Zew oceanu*, ukazało się choćby *Safari mrocznej gwiazdy* – opowieść, której autor, Paul Theroux, przez rok podróżuje samotnie po najbardziej nieprzyjaznych częściach Afryki, czy też dziennik *W syberyjskich lasach* Sylvaina Tessona, dziennikarza, który spędza samotnie pół roku w chatce na skraju tajgi, u brzegów jeziora Bajkał.

Zarówno tym autorom, jak i Cichockiemu, towarzyszy literatura, w tym teksty filozoficzne. Tesson do pustelni w rosyjskiej tajdze zabrał 60 tomów książek. Cichocki natomiast pisze: „15 grudnia. Jak aforyzmy, to aforyzmy. To chyba Francois Mauriac powiedział, że nie ma takiego cierpienia, którego by nie złagodził kwadrans lektury. Czytam więc, ile wlezie. A tam po prostu nieskończona krynica mądrości”. Żeglarz z Olsztyna na jachcie czyta Senekę, Cycerona, Kołakowskiego, Tischnera i Biblię, cytuje św. Augustyna, Szymborską, Coleridge’a, Lema, Konfucjusza i robi to w sposób tak naturalny, jakby przywoływał

zdania wypowiedziane przez dobrych znajomych, jakby filozoficzne teksty były czymś codziennym. Dzieje się tak dlatego, że samotny wilk morski poznał ich prawdziwy sens, jak wówczas, gdy – prowadząc dysputę sam ze sobą na pustym oceanie – odkrywa, dlaczego starożytni filozofowie na formę przekazu swoich myśli wybierali dialog. I w pewnym momencie podczas lektury książki Cichockiego ogarnia nas speszzenie, zadajemy sobie bowiem pytanie: kiedy ostatnio czytaliśmy Senekę?

Zew oceanu to zatem nie tylko relacja z podróży, to także spora dawka informacji, humoru, autoironii, głębokich myśli, rozważań o sensie życia. To nie tylko opis całej serii spektakularnych sztormów, ale i spotkanie z siadającą na ramieniu jaskółką czy zaplątanym w żytkę wędki albatrosem.

Zew oceanu to również swego rodzaju podręcznik modnego dziś *coachingu*, instruktaż, jak można walczyć o własne marzenia.

Czasem, by te marzenia zrealizować, popłynąć w rejs dookoła świata, czy napisać książkę, trzeba spotkać na swojej drodze odpowiednich ludzi. Na drodze Cichockiego pojawiło się wiele takich osób, między innymi Marcin Mastalerz, który przyczynił się do powstania nagrodzonej dziś publikacji. Jego nazwisko widnieje na okładce obok nazwiska autora.

Zastanawiam się, co teraz wybierze Tomasz Cichocki: ster czy pióro? Które z wyzwań okaże się bardziej wciągające? Na szczęście nie ma to większego znaczenia, bo zarówno pisanie jak i żeglowanie wychodzi mu doskonale.

Autor kończy swoją książkę, podając czas i miejsce jej powstania: „2011-2012, planeta Ziemia”. Tym bardziej możemy czuć rodzaj dumy z tego, że zarówno ten rejs, jak i ta książka mają swój początek w Olsztynie.

Na sto pięćdziesiątej stronie Cichocki opisuje stan jachtu po wywrotce, jaka przydarzyła mu się na Indyku. Do końca rejsu pozostało jeszcze niemal pół roku:

„Radar – brak. Generator wiatrowy – nie działa. Telefon satelitalny – awaria. Generator diesla – bezużyteczny. Instalacja 220 voltów – nie działa (...). Odsalarka – trudno powiedzieć”. Wiele rzeczy na tym trwającym ponad dziesięć miesięcy rejsie odmówiło posłuszeństwa, najbardziej niezawodny okazał się człowiek.

„Wiele jest słów, których nie lubię – pisze Cichocki – »musisz«, »nie wypada«, »zakaz palenia«. Jednak w moim prywatnym rankingu sformułowań doprowadzających mnie do furii bezapelacyjnie wygrywają »niemożliwe« *ex aequo* z »nie da się«”.

Z tymi słowami Państwa zostawiam, mam nadzieję – nie samych, lecz z książką *Zew oceanu*. Polecam ją zarówno tym, którym bliżej do morskich wilków, jak i tym, którzy twardo i rozważnie stąpają po ziemi. Że warto po nią sięgnąć – *quod erat demonstrandum*.

* A. Solak: *Zew oceanu*. Tomasz Cichocki. Carta Blanca 2013, „opętani czytaniem” (online). – Tryb dostępu: <http://opetaniczytaniem.pl/recenzje/zew-oceanu-tomasz-cichocki-carta-blanca-2013.html> (30.05.2014).



Elżbieta Zakrzewska

Noc w bibliotece / Mogiły w księżodworskim parku

Ogień rozprzestrzenił się coraz bardziej. Kurz i gryzący dym nie pozwalały oddychać. Powietrze robiło się coraz bardziej gorące. Zewsząd było słyhać krzyki przestraszonych ludzi. Zgiełk przybierał na sile. Irma przeciskała się między uciekającymi w panice, szukając drogi wyjścia. Płomienie ognia prawie już lizały jej ubranie. Czuła swąd tłącego się materiału.

„Jeszcze moment i ogień mnie dosięgnie! Którędy uciekać?”

Tysiące myśli galopowały w jej głowie. Wydawało jej się, że z przeciwka poczuła falę świeżego powietrza.

„Powinam kierować się w tę stronę. Tam znajdę wyjście”.

Mimo ognia przesłaniającego jej drogę Irma uparcie przedzierała się w obranym kierunku. Zdawało jej się, że jest coraz bliżej. Naraz błysnął przed nią niczym błyskawica ogromny snop ognia, rozległ się donośny trzask i poczuła, że traci równowagę. W ułamku sekundy zobaczyła przed sobą postać mężczyzny w białej koszuli. Z ruchu jego warg odczytała: „W bibliotece”. Chciała zawołać o pomoc, ale dym zdusił jej głos i zapadła w ciemność.

Obudziło ją własne charczenie, które przeszło w suchy kaszel. Irma gwałtownie poderwała głowę z poduszki i nieprzytomnie rozejrzała się dokoła. Po krótkiej chwili w świetle księżycy zaczęła rozpoznawać otaczające ją sprzęty. Była w sypialni, w willi wujostwa w Działdowie, dokąd przyjechała z ich majątku w Księżym Dworze. Czuła niewyobrażalną ulgę, że straszne przeżycia, których doznała przed chwilą, były tylko snem. Z niepokojem zauważyła, że odkąd przybyła do Działdowa, gdzie wujostwo spędzali jesień i zimę, a także już wcześniej – podczas jej pobytu w Księżym Dworze, często zdarzały jej się męczące sny. Ale ten był wyjątkowo przerażający i wydawał się bardzo rzeczywisty. Spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Był kwadrans po północy. Spała zaledwie godzinę, a wydawało jej się, że wraca z długiej podróży.

„Jak dobrze, że to był tylko sen” – pomyślała z ulgą. – „Skąd ten koszmarny? Dlaczego przyśnił mi się akurat pożar?”

Podniosła się z łóżka i podeszła do okna, jakby spodziewała się tam znaleźć rozwiązanie nocnej zagadki. Z okna miała widok na Bahnhofstrasse – główną ulicę miasta, która o tej porze była zupełnie pusta. Spojrzała na znajdujący się po przeciwnej stronie budynek synagogi i przypomniał jej się ostatni fragment snu.

„Biblioteka. Człowiek, którego widziałam we śnie, chyba chciał mi coś przekazać. Tylko co to mogło znaczyć? Jaka biblioteka? Co jest z nią związane?”

Irma nalała sobie wody ze stojącego na komodzie dzbanka i siadła na łóżku. Wiedziała, że dręczące ją myśli nie dadzą jej zasnąć.

- Biblioteka – powiedziała w zamyśleniu. – Biblioteka – powtórzyła.

Nagle olśniło ją. Przecież biblioteka jest na dole. Co prawda nie było to ulubione miejsce Irmy, która jako osiemnastoletnia panna wolała spędzać czas w towarzystwie rówieśników niż książek, ale teraz uznała, że musi koniecznie tam pójść.

Założyła szlafrok, wsunęła stopy w miękkie papucie, aby nie było słychać jej kroków na korytarzu i – nie zapalając światła – udała się do domowej biblioteki.

Było to jedno z większych pomieszczeń willi, które robiło na goszczących tam niezapomniane wrażenie. Biblioteka składała się z dwóch połączonych ze sobą sal, z których jedna stanowiła jakby dużą półokrągłą wnękę z przeszkloną ścianą z widokiem na ogród od strony głównej ulicy. Od podłogi po sufit wzdłuż ścian stały regały wypełnione bogatym zbiorem książek. Na niżej zawieszonych półkach leżały czasopisma, a w szafach z oszklonymi drzwiami znajdowały się zbiory rycin. W centralnym miejscu stała sofa, a obok stolicek do kawy i głęboki fotel, co subtelnie urozmaicało wnętrze. W drugiej części znajdował się masywny stół z krzesłami i kilka niskich ciemnych regałów, na których leżały albumy, stały rodzinne fotografie w rzeźbionych ramkach oraz liczne bibeloty, które nadawały pomieszczeniu przytulny charakter. W pobliżu oszklonej ściany znajdowało się mnóstwo doniczkowych kwiatów różnych odmian, a między nimi podręczny stolik z niedbale złożoną na nim stertą książek i czasopism. Było to miejsce stwarzające warunki zarówno do odpoczynku przy pasjonującej lekturze, jak i do pracy umysłowej.

Irma zapaliła światło i rozejrzała się po wnętrzu. Mimo późnej pory nie była śpiąca. Przeciwnie – wspomnienie człowieka ze snu ze słowem „biblioteka” na ustach potęgowało w niej potrzebę odkrycia nocnej zagadki. Nie wiedziała jednak od czego zacząć, czego ma szukać. Przejrzała kilka przypadkowych książek, szukając jakiejś wskazówki, ale nic nie zatrzymało jej uwagi. Podeszła do półki ze zdjęciami rodzinnymi i naraz jej wzrok przyciągnęła podobizna wuja Emila.

„Przecież wuj Emil prowadzi kronikę rodzinną” – olśniło ją. – „Może tam znajdę jakiś trop?”. Jednak zaraz pomyślała trzeźwo: „Tylko w której z tych szaf mogą znajdować się jego zapiski? Nawet gdybym szukała do rana, nie dam rady ich znaleźć”.

Myśl, że ma zrezygnować i zostawić sprawę nierozwiązaną nie dawała jej jednak spokoju.

„Trudno, skoro i tak nie mogę spać, spróbuję. Kronika jest ciągle uzupełniana, więc nie może być na najwyższych półkach. Zacznę więc od dołu” – podjęła decyzję.

W momencie, kiedy już schylała się do najniższej półki jednej z szaf, dobiegł ją odgłos jakiegoś spadającego przedmiotu. Odwróciła się w tym kierunku i zobaczyła, że nierówno ułożone książki na stoliczku między kwiatami z głośnym łoskotem zsuwają się jedna po drugiej na podłogę. Podbiegła, ale nie zdążyła zapobiec katastrofie i wszystkie książki wylądowały na posadzce. Jakie było jej zdumienie, gdy na samym wierzchu ujrzała tytuł „Kronika rodu Frankensteinów, właściciele majątku Księży Dwór. Księga 4 lata 1900-1918”.

„Opatrzność jednak nade mną czuwa” – pomyślała z wdzięcznością. – „Zacznę od tej części, a jeżeli nic nie znajdę, dotrę do innych” – postanowiła.

Z niecierpliwością wzięła się za wertowanie kroniki. Na szczęście wuj pisał dość przejrzysto, a jego notatki zawierały ułożone chronologicznie główne fakty z życia rodziny, więc pobieżne przeglądanie szło jej dość szybko i nawet nie czuła mijającego czasu. Skupiła się na wychwyceniu słów „ogień”, „płonąć” lub „pożar”. Przy ostatnich zapisach z roku 1914 jej uwagę przyciągnęła notatka o żołnierzach niemieckich spalonych w Księżym Dworze w stodole należącej do wuja Emila Frankensteina.

„To może być związane z moim snem”. Z tą myślą zagłębiła się w opis sytuacji sprzed 15 lat.

Dowiedziała się, że podczas walk toczonych jesienią 1914 r. w stodole w majątku wuja kwaterowali żołnierze niemieccy. 16 listopada wieczorem świętowali urodziny swojego dowódcy. Gdy położyli się spać, nie zauważyli nadejścia Rosjan, którzy zamknęli stodołę i podpaliли ją. Żołnierzy, którzy tam zginęli, oraz ich towarzyszy broni, którzy polegli w tych dniach w walkach o dolinę Działdówki pochowano w parku dworskim. Wuj pisał, że posiadał dane tylko 37 z nich, natomiast nazwiska pozostałych pięciu były nieznanne.

Irma z wypiekami na twarzy oderwała się od kroniki. Przypomniała sobie mogiły ze znakiem Żelaznego Krzyża na obrzeżach parku przy ogrodzeniu. Wiedziała, że leżą tam żołnierze niemieccy, którzy zginęli w tych okolicach na początku wojny światowej, ale nigdy nie zaprzątała sobie głowy okolicznościami tych wydarzeń.

„Może, człowiek, który we śnie skierował mnie do biblioteki, to jeden z żołnierzy, którego tożsamości nie poznano. To pewnie jego duch błąka się po okolicy, szukając spokoju. Stąd te moje niepokojące sny w Księżym Dworze i tutaj” – wytłumaczyła sobie całą sytuację.

„Widocznie upodobał sobie mnie i chciał, żebym poznała historię śmierci żołnierzy pochowanych w ogrodzie wokół pałacu. Będę modlić się za jego duszę, aby odnalazł spokój” – postanowiła Irma. – „Ale nikomu nic o tym nie powiem. Wyśmiej mnie, że wierzę w duchy”.

Zadowolona, że udało jej się wytłumaczyć znaczenie tajemniczego snu, zaczęła porządkować książki porzucane po bibliotece. Widocznie jakiś zły chochlik panował tej nocy w świątyni książek, bo gdy już układanie miało się ku końcowi, jeden nieostrożny ruch Armyspowodował, że cała sterta znów runęła, co gorsze zawadzając po drodze o jedną z doniczek, która roztrzaskała się na posadzce. W nocy, a właściwie w nadrannej już, ciszy, odgłos rozbijającej się niewielkiej porcelanowej doniczki zabrzmiał jak wystrzał.

„Mam nadzieję, że nikogo nie obudziłam” – pomyślała Irma. – „Nie chcę się nikomu tłumaczyć z nocnego myszkowania w bibliotece”.

Niestety to były tylko pobożne życzenia dziewczyny, bo za chwilę usłyszała kroki na korytarzu i drzwi biblioteki uchyliły się. Stał w nich Eryk, przyjaciel kuzyna Armys, Huberta, który od kilku dni gościł w willi.

– Co to był za hałas? – zapytał ciekawie. – Późno wróciliśmy z Hubertem z polowania w Księżym Dworze i nie mogłem spać, bo od kilku godzin słyszę jakieś szelesty, stuki. Nie wiedziałem, skąd docho-dzą, ale gdy przed chwilą usłyszałem ten łoskot, musiałem sprawdzić, co się dzieje – dodał.

– Niepotrzebnie jesteś taki dociekliwy – kąśliwie zauważyła Irma. – Mam nadzieję, że nie zaalarmowałeś reszty rodziny – zaniepokoiła się.

– Oczywiście, że nie. Możesz się nie obawiać, ich sypialnie są w drugiej części domu, więc na pewno nic nie słyszeli – uspokoił ją. – Ale co ty o takiej późnej, a właściwie wczesnej, porze tu robisz?

– Nic, co powinno cię interesować – niegrzecznie odpowiedziała Irma. – Lepiej powiedz, jak udało się polowanie?

– Wynik dobry, bo w osiem osób upolowaliśmy dużą ilość dziczyzny, ale królem polowania niestety nie zostałem. Tytuł ten przypadł właścicielowi majątku z Grzybin – opowiadał rozczarowany Eryk. – A i wcześniej dzień był dla mnie niezbyt pomyślny. Dla żartu poszliśmy z Hubertem na ulicę Kościelną do Towarzystwa Czytelní Ludowych. Była tam loteria fantowa. Niestety, mimo zakupu kilku losów nic nie wygraliśmy. Za to służący pana Domanowskiego z Pierławki, który kupił tylko jeden los, wygrał główną nagrodę – jadalnię dębową.

– Zazdrościsz mu? Po co ci jadalnia? – zdziwiła się Irma.

– To nie o jadalnię chodzi. Po prostu nic mi się nie udaje – powiedziała zniechęcony Eryk. – A od kiedy Hubert ma narzeczoną, nawet rozrywki mnie nie bawią – dodał ponuro.

– Masz za dużo czasu? To świetnie! – ucieszyła się Irma. – Nie pojechałbyś ze mną do Księżego Dworu? Zatręskniłam za parkiem, bo tutaj w mieście, nie ma nawet gdzie iść na spacer. Pojechalibyśmy po śniadaniu i wrócilibyśmy na obiad. Zgódź się, proszę – kusiła.

– Pojadę, jeżeli zgodzisz się pójść ze mną popołudniu na występ deklamatorki Kazimierzy Rychterówny – zrewanżował się Eryk.

– Rychterówna w Działdowie! Słynna lwowska aktorka u nas!– ucieszyła się Irma. – Chętnie posłucham jej deklamacji. Gdzie odbędzie się występ?

– Tu, niedaleko, przy Bahnhofstrasse w Hotelu Polskim.

– Wspaniale! Zatem cały dzień zaplanowany – ucieszyła się Irma.

– Mam nadzieję, że upłynie nam ciekawie i nie będę miał powodów, żeby zazdrościć Hubertowi – dodał Eryk patrząc znacząco na Armę.

– Musimy się więc obydwójce postarać – stwierdziła dziewczyna. – Tymczasem należy nam się trochę odpoczynku po nieprzespanej nocy. Już świta, ale jeszcze zdążymy złapać trochę snu. A więc do zobaczenia – pożegnała się, wychodząc z biblioteki.

„Nocny koszmar miał całkiem dobre zakończenie” – pomyślała, układając się do snu. „Pojadę do pałacowego parku, uważnie przyjrę się mogiłom. Postaram się zadbać o nie. A Eryk? To chyba początek nowej przyjaźni. A może coś więcej...”

Barbara Kazmierczak

Prusy Wschodnie. Dziedzictwo wołające o pamięć

Pamięć zbiorowa to szara eminencja teraźniejszości. Buduje rzeczywistość z fragmentów wiedzy i zapomnienia. Może nagle zamilknąć i przekierować swój bieg na inne tory, zostawiając na uboczu jakiś element dziejów, by zastąpił na zawsze i uciszył swoją prawdę. Raz coś podsyca, raz coś wygasa. Właśnie z zapomnieniem walczą rzecznicy rozmaitych dziedzictw historycznych. Pamięć o dziedzictwie Prus Wschodnich także ma swoich obrońców, a wśród nich szczególną pozycję zajęła Marion Dönhoff (1909-2002 r.).

W Polsce ukazało się już kilka publikacji o życiu i twórczości Dönhoff. Najnowsza, autorstwa Aleksandry Matykiewicz-Włodarskiej, dotyczy idei i refleksji politycznych Hrabiny z Friedrichsten spod Królewca. Autorka opisała życie i działalność Dönhoff w pięciu rozdziałach, ukazując jej bogate i płodne życie intelektualne. Spośród jego aspektów w omawianej książce wyróżnia się szczególnie zaangażowanie Hrabiny w losy Prus Wschodnich. Na tym warto się skupić.

Dönhoff znana głównie jako redaktorka „Die Zeit”, w młodości aktywistka opozycji antynazistowskiej, po wojnie działała jako mediatorka stosunków polsko-niemieckich, opiniotwórcza dziennikarka i publicystka zaangażowana w politykę ponad podziałami. Kompetentna, krytyczna, ciesząca się autorytetem, o który w swej skromności nie zabiegała. Jako jedyna w rodzinie kobieta zdobyła wyższe wykształcenie. Jej praca doktorska z ekonomii dotyczyła metod zarządzania rodzinnym majątkiem we Friedrichstein na przestrzeni pokoleń. Ta praca pogłębiła wiedzę Dönhoff o historii Prus Wschodnich i, jak można przypuszczać, odegrała rolę w postawie publicystki wobec dziedzictwa pruskiego. „Tym, co bez wątplenia najsilniej ukształtowało charakter i postawę życiową Marion Dönhoff, była tradycja, w jakiej przyszła publicystka się wychowała – tradycja starego, arystokratycznego rodu, którego sześćset lat historii nierozzerwalnie związanych zostało z Prusami Wschodnimi [...]” (s. 11).

Choć po wojnie Dönhoff zaakceptowała stratę Prus Wschodnich przez Niemcy, uznając ją za bolesną konsekwencję polityki III Rzeszy, to nie zgodziła się na osobistą utratę rodzinnych stron. Wręcz przeciwnie. Robiła, co mogła dla podtrzymania w zbiorowej pamięci rzetelnego obrazu Prus Wschodnich. Jako publicystka niejednokrotnie wypowiadała się o konieczności wzajemnego poznawania się Polaków i Niemców – uczenia się bez uprzedzeń historii obydwu narodów i szukania we wzajemnych relacjach tego, co wspólne. Tym zaś jest dziedzictwo Prus Wschodnich, tego ogniwia terytorialnie łączącego historię oraz ludność polską i niemiecką.

Dönhoff nie dawała przyzwolenia na stereotypową interpretację powojennej rzeczywistości politycznej. Walczyła o obiektywizm w imię dobra ogółu. Wychowana w duchu pruskiej dyscypliny, w ramach której dobro wspólne jest wartością nadrzędną wobec jednostki, nie pozwalała sobie na zbyt subiektywne widzenie świata. Podział Prus Wschodnich między Polskę a ZSRR nie wpłynął na stosunek Dönhoff do jej ojczystej ziemi. Prusy na zawsze zostały w jej percepcji historycznym i kulturowym bogactwem, o którym nie można zapomnieć. Dla Dönhoff bardziej niż umowne podziały narodowościowe liczyli się ludzie, ich tradycja, historia, teraźniejszość i umiejętność współpracy.

Dönhoff przekuwała słowa na czyny. Jeśli nawoływała do pamięci dziedzictwa, to nie poprzestawała na głoszeniu idei, ale działała. Matykiewicz-Włodarska podaje między innymi, że Dönhoff starała się swego czasu o odnowienie pomnika Immanuela Kanta w Królewcu. By nakłonić do tego rosyjskie władze, zawiozła swym samochodem do Królewca model pomnika. Było to w roku 1989. Trzy lata później postawiono pomnik i tym samym odrestaurowano pamięć o Kancie w jego rodzinnym mieście. Ten znamieny przykład dbałości Hrabiny o dziedzictwo w jego różnych aspektach pokazuje, że Prusy Wschodnie stanowiły dla Dönhoff wartość autoteliczną. Jej działalność była kierowana ideami wolnymi od osobistych pobudek, przepełniona zaś poczuciem obowiązku wobec zbiorowości.

Monografia Matykiewicz-Włodarskiej szeroko omawia polityczne poglądy i działalność Hrabiny, a naszkicowane tu zaangażowanie Dönhoff w ocalenie pruskiego dziedzictwa to jeden z ich aspektów. To książka prowokująca do refleksji nad tym, czemu o tak wartościowej działalności na rzecz stosunków polsko-niemieckich mało się dyskutuje, dając w to miejsce upust waśniom i medialnym przepychankom politycznych celebrytów. Czemu tak niewiele uwagi poświęca się dbałości o dziedzictwo i wypracowany w historii dialog? Czemu takie postaci jak Marion Dönhoff darzone są raczej akademickim zainteresowaniem, a nie ma dla nich miejsca w przekazie masowym i medialnej przestrzeni? Odpowiedź jest banalna. Lepiej ją przemilczeć.

Aleksandra Matykiewicz-Włodarska, Marion Gräfin Dönhoff. Idee i refleksje polityczne, Kraków 2012.



Jakiś czas temu do Pracowni Regionalnej w bibliotece na olsztyńskiej starówce zadzwonił telefon. Pewien mężczyzna poprosił o pomoc w odnalezieniu informacji na temat jednej z lokalnych legend, a dokładnie historii o dzieciobójczyni z Morąga. Interesowało go, czy przejmująca opowieść o tragicznej śmierci czternastoletniej Barbary Schwann znalazła już swoje miejsce w zbiorach baśni i podań lub też choćby w dawnej prasie. Jak się później okazało, dociekliwym rozmówcą był Witold Vargas – ilustrator książek dla dzieci, z pochodzenia Argentyńczyk, na stałe związany z Polską, współautor obok Pawła Zycha kilku pięknie wydanych *Legendarzy*, w tym *Duchów polskich miast i zamków*. To właśnie tam znalazła się demoniczna ilustracja, wykonana przez tego artystę, przedstawiająca bladą postać, niemal jeszcze dziecko, trzymającą na rękach martwe niemowlę.

Krótką historią o potępionej dziewczynie okrutnie torturowanej za życia za popełnione zabójstwo jest jedną z wielu legend składających się na swoisty katalog duchów. Jak wyjaśnia sam autor, to „istoty, które kiedyś żyły, lecz przez śmierć lub czary zostały pozbawione swej powłoki cielesnej, a mimo to ich część niematerialna wciąż daje o sobie znać”. Spory fragment publikacji poświęcony został podaniom z Warmii i Mazur oraz okolic Elbląga. Trafiły tu m.in.: Prus Gęślarz z Działdowa, Czarnoksiężnik Kiliar z Elbląga, Rozpustnik z Iławy, Zwyrondniały Rozbójnik z Lidzbarka Warmińskiego i kilka innych. Niektóre zostały opatrzone stosownymi komentarzami, wyjaśniającymi kontekst historyczny. Dzięki nim dowiadujemy się, że być może posąg powszechnie już znanej baby pruskiej to roniąca łzy skamieniała dziewczyna przeklęta przez rozżłoszczoną matkę.

Duet Zych & Vargas ma na swoim koncie również wydany w 2012 roku fantastyczny *Bestiariusz Słowiański*, czyli – jak głosi podtytuł – rzecz o skrzatach, wodnikach i rusałkach. Sami autorzy przyznają, że jest to tom rozpoczynający cykl niesamowitych opowieści wyłowionych w trakcie studiów nad rodzimymi baśniami, podaniami i legendami. Są wyraziste, surowe i naprawdę przejmujące. Niejeden będzie się wzdrygał na widok białych ludzi (niby krasnoludków) z pustymi oczodołami i jedynie górną szczęką, wdrapujących się do ust i nosa śpiącego człowieka. Natomiast opowieść wyjaśni, że przyczyną cychają na ludzi... w zwykłych kałużach. Nie mniej przerażająco

Anita Romulewicz

Opowieści strasznej treści

odmalowany został „nasz” kłobuk, czyli czarny kogut, kradnący dla swoich gospodarzy skarby. Ten miłośnik jajecznicy i wygodniej beczki wymoszczonej puchem, jak się okazuje, potrafił być też wyjątkowo mściwy. Naprawdę niebezpieczny stawał się jednak jako siedmiolatek, bo wówczas – o czym mało kto wie – mógł zostać przemieniony w Bazyliuszka.

Z regionem Mazur autorzy kojarzą też tajemnicze ćmuchy i, co może się wydawać dziwne, wielkoludy, które rzekomo wyginęły w czasie biblijnego potopu. Do dziś podobno można gdzieś odnaleźć ich ogromne kości. Nikogo natomiast nie zaskoczy, że dawni mieszkańcy regionu bogatego w jeziora powołali do życia bohatera, jakim jest Rybi Król. W najnowszym tomie legend, czyli *Księżde smoków polskich* nadal nosi on dumnie na głowie koronę, panując nie tylko na całym Pojezierzu Mazurskim, ale i nad rzekami regionu. I, aby nie pozostawiać czytelnika w przekonaniu, iż świat baśniowy to jedynie zdeformowane poczwary pożerające słabszych, autorzy okrasili *Księżde*... także opowieściami o zacnych ludziach, jak choćby dobrodusznym Gustebaldem znad Łyny, czy dzielnym rybak – pogromcą smoka znad Jezioraka.

Postacie z *Legendarzy*, chociaż mroczne, a czasem przerażające, są niczym innym, jak wyobrażeniem ludzkich lęków. Jak głosi stara prawda – ubierz swój strach, a łatwiej go pokonasz. Tak też czynili nasi przodkowie, radząc sobie z tym, co niepojęte i obce. Ponieważ siła ludzkiej natury, karząc szukać ulgi w okrutnych opowieściach, zamknęła w nich obraz całych pokoleń, dziś w legendach Warmii i Mazur możemy przejrzeć się jak w lustrze. A skoro Argentyńczyk, mieszkaniec innego kontynentu, potrafił dostrzec w nich wyjątkowe piękno, to my powinniśmy czuć się za nie odpowiedzialni i dbać, aby nie zostały zapomniane. Dlatego dorosłych zachęcam do odważnego oglądania, czytania i opowiadania ich młodszym.

Paweł Zych, Witold Vargas, Bestiariusz słowiański. Rzecz i skrzatach, wodnikach i rusałkach, Olszanica 2012.

Paweł Zych, Witold Vargas, Duchy polskich miast i zamków, Olszanica 2013.

Księga smoków polskich, tekst Bartłomiej G. Sala; il. Witold Vargas, Paweł Zych, Olszanica 2014.

Stanisław Czachorowski

Mrówki na trawniku, czyli drapieżne motyle

Mrówki na trawniku nieodłącznie kojarzą mi się z lekturami szkolnymi i Telimeną z *Pana Tadeusza*. Strach sięć na trawie, bo zaraz jakieś robactwo, jakieś mrówki obejdą! Lepiej więc wszystkie trawniki wyłożyć polbrukiem? Ale wchodzące pod bieliznę mrówki to przecież sprzyjająca okoliczność, by przełamać nieśmiałość i stworzyć pretekst do zbliżenia z Tadeuszem, a w sensie dosłownym – to okazja do spotkań międzyludzkich, niekoniecznie z erotycznym podtekstem.

Trawnik w mieście to dobry punkt odniesienia do dialogu między humanistami a przyrodnikami, między teoriami a codzienną praktyką i komfortem życia człowieka w mieście. To nie tylko okazja, by wyjść z ciasnych przegródek poszatowanego specjalizacjami świata. Trawnik może być miejscem zarówno do dyskusji (przestrzeń publiczna), jak i czytania książek (samotnia w mieście). A nawet uprawiania sałaty i pomidorów. Nie zapominając, że jest miejscem życia mrówek i motyli. Do tego wszystkiego potrzebny jest dialog na wielu płaszczyznach, by się od siebie uczyć funkcjonowania świata w różnych wymiarach.

Trawnik w mieście to kość niezgody. W zasadzie nieużytek i utrapienie. Kosić toto trzeba (bo jakże może być nie skoszony!), liście grabić. Same koszty. Więc wiele miejskich terenów potencjalnie zielonych zamienia się polbrukowe czy betonowe klepisko, zamieniane w place budowy (bo po co ma się tyle wolnego miejsca marnować). Potem jedynie z trudem służby miejskie wydrapują każde źdźbło trawy, każdą roślinę, która bez pozwolenia wyrośnie w szczelinie między płytami chodnika czy polbruku. A jeśli już trawnik, to cały zielony, równo przystrzyżony jak plastikowa wycieraczka lub wykładzina w supermarkecie. Taka estetyka i mniemanie o dbałości pokutuje w naszej miejskiej mentalności ze szkodą dla miejskiej różnorodności biologicznej i ze szkodą dla zdrowia człowieka. Na szczęście od kilku lat już nie obowiązuje zakaz wchodzenia na trawnik i nie stawia się tabliczek „nie deptać zieleni” – czyli „zakaz wstępu, można tylko patrzeć z daleka”. Teraz już można wejść. Ale czy mamy odwagę? Przecież można w coś brzydkiego wdepnąć...

Pora na systematyczne odkrywanie, że tereny zielone mogą być także przestrzenią publiczną, w której wiele się dzieje, zarówno w zakresie kultury jak i dzikiej przyrody. A także, że to ekosystem wpływający na jakość życia, także człowieka. Jeśli spojrzeć na trawnik okiem przyrodnika, to dostrzec można tam istoty żywe. Na przykład mrówki i inne owady. A jeśli tak, to nie tylko ładniejszy, ale i bardziej funkcjonalny jest trawnik z kwiatami, czyli bardziej łąka. I człowiekowi miło pospacerować, usiąść na kocu (lub bez), i wielu owadom, ssakom czy ptakom łatwiej żyć.

Bo kwiaty to nie tylko uroda dla ludzkich oczu, ale także zasoby pokarmowe dla wielu owadów (te z kolei są pokarmem dla ssaków i ptaków), na przykład motyli i pszczoł samotnych. Wreszcie dostrzegamy naszych braci mniejszych i już pojawiają się nie tylko karmniki dla ptaków, ale i hotele dla pszczoł (samotnych, na przykład murarki ogrodowej), domki dla biedronek, schronienia dla jeży, a nawet... karmniki dla dżdźownic. W przełamywaniu szkodliwych stereotypów pomagają różnorodne społeczne inicjatywy typu miejska partyzantka ogrodnicza.

Skoro trawnik jest przestrzenią publiczną, to jest jednocześnie kością niezgody co do sposobu użytkowania. Jedni chcą z niego zrobić parking, inni wybieg dla psów (ale bez sprzątania po swoich pupilach), jeszcze inni widzą w nim łąkę z bogatą i dziką przyrodą, jeszcze inni warzywnik. Nie da się tych różnych oczekiwań pogodzić bez dialogu i negocjacji, bez empatii i prób zrozumienia różnorodnych potrzeb. Czyli bez kultury się nie obejdzie. Nie da się rozwiązać problemów ekosystemowych bez uwzględnienia potrzeb człowieka i bez zrozumienia funkcjonowania społeczeństwa.

Sporo się dzieje w zakresie dostrzegania zieleni miejskiej. Ale najbardziej ucieszył mnie w Olsztynie projekt BWA „Nieuzytki Sztuki”. Ogród, gdzie można posiać rośliny użytkowe, spotkać się, porozmawiać, poprzyżywać i nawet sztukę tworzyć. Jest to odzyskiwanie „nieuzytków” dla przyrody i dla ludzi. Bo dlaczego mamy siedzieć pozamykani w blokowiskach jak w klatkach? Dlaczego nie mamy korzystać z trawników, gdzie można usiąść, książkę poczytać, owady poobserwować, a nawet kwiaty i marchewkę uprawiać? Co tam, można nawet plener malarski pod blokiem zrobić.

W coraz większej liczbie miast produkuje się żywność, a świeże warzywa na osiedlowym straganie pochodzą z miejskich upraw, nawet na dachu (poza tym atrakcja i wygoda przyczyniają się do łagodzenia negatywnych skutków zmian klimatu i nasilania się klęsk żywiołowych). Praca w ogrodzie jest znakomitym sposobem do kontaktów międzyludzkich. To takie ogrody 2.0, gdzie wykorzystywany jest wolontariat do pielęgnacji zieleni w mieście. Przestrzeń wokół nas może być piękniejsza i to za sprawą umiejętnego łączenia wolontariatu z animacją różnych instytucji. Ważniejszy jest w tym kapitał ludzki, bo pieniędzy wielkich nie trzeba.

Ale wróćmy do mrówek na trawniku. Częste koszenie kosami żyłkowymi to istna masakra. Znikają kwiaty (źródło pokarmu dla zapyłaczy), roślinność jest wycinana do gołej ziemi. Pod swoim blokiem próbują sam sadzić kwiaty, krzewy. W większości niszczone są właśnie przez koszących trawniki. Posiałem stokrotki, ledwie kilka wyrosło,

Iwona Bolińska-Walendzik W jak...

już zostały dwukrotnie przycięte przy samej glebie. Krzewy usychają od nieustannego obsikiwania przez psy za bezmyślnym przyzwoleniem właścicieli. I tak od ponad dwóch lat nie jestem w stanie przywrócić zieleni na zniszczonym trawniku. Jesienią grabione są wszystkie liście, przez co brakuje pokarmu dla dżdżownic. Ewidentny brak zrozumienia i współpracy, gdzie służby pielęgnacji (?) przez nieudolność i niewiedzę wchodzą w konflikt z mieszkańcami. A przecież można połączyć energię ludzi w formie wolontariatu z instytucjonalnym zarządzaniem terenem.

Wśród zieleni spotkać można wiele gatunków motyli. Pośród nich są i modraszki (takie małe, niebieskie motyle). Mało kto zna cykl życiowy tych motyli. W ich dzieciństwie są drapieżne. Tak, tak, motyle mogą być drapieżne. Gąsienice modraszków wydzielają specjalne substancje, dzięki którym nie są atakowane przez mrówki, a nawet zanoszone są do mrowiska. Tam podjadają mrówkom pokarm, a nawet zjadają larwy mrówek. Życie na trawniku jest ciekawe w swej różnorodności i bogactwie. I czasem zaskakująco brutalne.

Bioróżnorodność to dialog między kulturą a przyrodą. Przynajmniej powinien być to dialog i wzajemne zrozumienie. Tego nam w życiu codziennym bardzo brakuje. Być może akcja BWA w formie „Nieużytków Sztuki” jest zwiastunem głębokich zmian oraz wychodzenia instytucji poza własne mury ku przestrzeni publicznej. Na to liczę. Może przez sztukę uda się edukować wiele decyzyjnych i sprawczych osób, przesądających o małych i dużych inwestycjach wokół nas. Potrzebny jest dialog dla zachowania miasta, potrzebna współpraca. Więc spotykajmy się na trawnikach, naszych osiedlowych, zaadaptowanych przestrzeniach publicznych.

Na trawniku spotkać można mrówki a więc i mrowiska. Ale ja bym nie wkładał kija w to rzeczywiste mrowisko – niech sobie żyją obok nas w spokoju. Bardziej kusi mnie to symboliczne włożenie kija w ludzkie mrowisko, czyli w sposób patrzenia na zielen wokół nas: miejsce spotkań międzyludzkich i estetycznych doznań czy tylko brzydkie pole konfliktu między różnymi grupami.

Spotkajmy się na trawniku, przy pięknej pogodzie, by poczytać książkę, pograć w szachy, malować akwarele, obserwować owady, zbudować hotelik dla pszczoł... A przede wszystkim, by rozmawiać ze sobą. Nie trzeba wyjeżdżać daleko na wakacje, by przebywać w pięknej przestrzeni i czuć się dobrze między ludźmi. Wszystko to jest w zasięgu ręki, na miejskim, osiedlowym trawniku. I nie wymaga wielkich inwestycji.

W jak wstążki i kwiaty przywiązane do krzyży w wyniku majowych spotkań z Bogiem. Bóg za pośrednictwem Maryi wyciąga mieszkańców wsi z domów, odrywa ich od roboty w gospodarstwie i rozmawia z nimi. A my, ludzie z miasta, przejeżdżamy obok, mknąc na spotkanie z naszym bogiem. Cała droga z Białegostoku ku zachodowi usiana była w ten kolorowy widok.

Samochód pruł przestrzeń, w której z każdym kilometrem robiło się coraz mniej drewnianych, małych domów, z białymi skrzynkowymi oknami, niektóre tylko z szansą na przetrwanie. Bo my, miastowi, lubimy spędzać czas na łonie natury w sielskich siedliskach.

Kuchnie u Żeni i Stefana były dwie. W letniej, w budynku gospodarczym, Żenia przygotowywała wszystkie przetwory – ogórki, dżemy, kompoty, opalała kury. Kuchnia w domu, z białym kaflowym piecem i zapiekiem, na którym przysiadłam raz czy dwa, wydała mi się miejscem magicznym, ciepłym... pulsującym sercem drewniano-ludzkiego domu.

W jak wianki, puszczane na wodzie w noc poprzedzającą św. Jana. Tego wieczoru jechałam na północ siódmką i przy pierwszym słupie ciemnego dymu chciałam dzwonić na 998. Po chwili pojawiły się kolejne, zaczęło to wyglądać jak jedenasta plaga, a nawet Armageddon. Niczym tornada pięły się ku niebu czarne kłęby.

Zacząłam przyglądać się, co jest przyczyną tego zjawiska, czy jest pod kontrolą. Najczęściej palenisko znajdowało się w lesie, gdy w końcu wśród domostw rozpoznałam stos ułożony przez człowieka, zaczęło mi świtać w głowie, że to zabawy świętojańskie się zaczynają.

Palinocka – letnie przesilenie, nawarstwienie pogańsko-chrześcijańskich tradycji, ognisko rozpala się w momencie, gdy słońce znika z nieboskłonu. Tym razem światłość wygrała, noc jest najkrótsza w roku. W każdej mijanej wiosce lub w jej okolicy pojawiał się ogień. Niepowtarzalne wydarzenia były o krok, w zasięgu ręki, a jednak oddzielone szybą autobusu pędzącego w stronę domu.



Kadr z filmu *Warmińska Wstęga*, czyli Tryptyk znad Łyny. Reż. Adam Smoczyński

Agata Kulbicka

Mendelsohn w koronkach

Słownik łacińsko-polski pod redakcją Mariana Plezi tłumaczy przymiotnik „frivolus, frivola, frivolum” jako „lichy, bezwartościowy, marny, zwodniczy, niedorzeczny, głupi”. Tym bardziej zaskakuje fakt, że mianem pochodzącym od tego przymiotnika nazwano jedną z technik wyplatania koronek: frywolitki (inaczej koronka czółenkowa).

W dziejach historii koronki przeżywały swe wzloty i upadki. Swą „karierę w branży odzieżowej” zaczynały, pełniąc funkcje zupełnie praktyczne – na brzegach szat wykonywano supełki, potem lamówki, które ze względu na swą trwałość świetnie zapobiegały strzępieniu się materiału. Z czasem dostrzeżono ich potencjał i pozwolono im przedzielić się w praktyczną dekorację, by wreszcie mogły stać się ozdobą samą w sobie. Frywolitka pochodzi najprawdopodobniej z Włoch. Technika wyplatania supełków i łączenia elementów za pomocą łuczków i pikotek miała wykształcić się w XVI w. Do Polski przybyła na przełomie XVII i XVIII w. z Francji, gdzie przeżywała chwile swej świetności. W tym czasie była bardzo popularna na dworach, służąc jako wykończenie szat (krajki), jako okazałe mankiety, nakrycia głowy, a także kołnierze. Z czasem koronki przestały być tak modne i siłą rzeczy frywolitka odeszła w zapomnienie. Przetrwała do naszych czasów głównie w postaci ozdobnych kołnierzy i serwet.

Fascynującej techniki wyplatania koronek za pomocą czółenek nauczyłam się kilka lat temu wiedzioną chęcią zdobycia nowych umiejętności z dziedziny szeroko pojętego „rękodzieła”. Wiele „przesuptyanych” kilometrów nici zostawiłam za sobą, nim odkryłam, że wykorzystanie frywolitki nie musi ograniczać się wyłącznie do tworzenia kołnierzy czy serwet, które po wysuptyaniu oraz wykończeniu zostają zamknięte w szafie, by spędzić tam najbliższe lata swego koronkowego żywota. Po wielu próbach naznaczonych porażkami (rozbieżność między wyobrażeniem gotowej pracy a pracą już wykonaną czasem bywa zaskakująco duża) moje frywolitki zaczęły nabierać zupełnie nowego kształtu. Wtedy właśnie, może jeszcze bardziej intuicyjnie niż celowo, dokonałam mariażu tradycyjnej techniki koronkarskiej z duchem współczesności, czego efektem stały się koronkowe kolie, bransolety oraz kolczyki. Nie zamknęłam się jednak wyłącznie na biżuterię, bowiem bezustannie trwam w dążeniu do poszukiwania kolejnych inspiracji, chociażby w historii mody, czego owocem są wachlarze, mankiety czy maski.

To nieustanne pragnienie znalezienia dla koronek nowego zastosowania, pozwalającego zaprezentować dawną technikę w nowych odsłonach, zawiodło mnie w zeszłym roku do nietuzinkowego miejsca na mapie Olsztyna, z pozoru w ogóle nie kojarzącego się z misternie



Fot. Grażyna Górską. Modelka/mankiety: Sviatlana Pankawec

wykonywanym rękodziłem. Mam tu na myśli Dom Przedpogrzebowy „Bet Tahara” mieszczący się na ulicy Zyndrama z Maszkowic, zbudowany w 1913 roku według projektu olsztyńskiego architekta, Ericha Mendelsohna. Kiedy budynek przestał spełniać swą właściwą rolę, przekształcono go w Archiwum Państwowe, a następnie porzucono bez opieki, zostawiając niszczącemu upływowi czasu. Jednakże dzięki pasjonatom w ubiegłym roku, po dziesięciu latach renowacji, tzw. „Dom Mendelsohna” odzyskał swą świetność i został na nowo otwarty dla zwiedzających, stając się tym samym Centrum Dialogu Międzykulturowego.

To właśnie piękne sklepienie tego budynku stało się inspiracją do przygotowania wystawy koronkowej biżuterii oraz dodatków nawiązujących w swej kolorystyce oraz formie do twórczości architekta. W tym miejscu warto wspomnieć, że w cieniu jego szeroko znanej twórczości (budowle wzniesione według jego projektów znajdują się w wielu miastach, np. w Poczdamie, Norymberdze, Berlinie, Wrocławiu) pozostaje inna pasja, której oddawał się z nie mniejszą uwagą. Otóż Mendelsohn realizował się jako artysta, projektując także biżuterię dla swej żony, wioloncelistki Luise Maas.

Mam nadzieję, że moja kolekcja przyczyni się do rozpowszechniania wiedzy na temat nieco już zapomnianych rzemiosł poprzez odbrązowienie koronki czółenkowej. Frywolitka jest materia bardzo plastyczną, a jej wykorzystanie w nowoczesnych projektach pozwala budować trwałe pomosty między przeszłością a teraźniejszością.

Autorka otrzymała stypendium Prezydenta Miasta na działalność artystyczną realizowaną w roku 2014. Powstała w ramach stypendium kolekcję frywolitkowej biżuterii inspirowanej działalnością słynnego architekta będzie można podziwiać we wrześniu 2014 r. na wystawie w Domu Mendelsohna.

Elżbieta Frąckowiak

Ależ dlaczegóż... chłopomania wiecznie żywa!

Polska na Świecie stoi wieloma rzeczami. Pierwsze, co przychodzi do głowy, to wymienienie wódki, Chopina i Wałęsy. Pomyślmy jednak o towarach, które możemy spieniężyć. Które mogą dać nam wielką chwałę – jak IKEA Szwedom, sushi Japończykom albo brie Francuzom. Przeszukując różne źródła, odkryłam, że nasz niewielki kraj słynie również z bursztynu, kosmetyków, krówek, mebli, jachtów i bombek choinkowych. Rozrzut całkiem niezły, potencjał ogromny. Jest jednak jeszcze coś, czym chwalić możemy się wszędzie.



Kadr z filmu Warmińska Wstęga, czyli Tryptyk znad Łyny. Reż. Adam Smoczyński

Nasz potocznie zwany Dizajn (tudzież mówiąc po naszemu „wzornictwo”) spokojnie może stawać w szranki z innymi krajami! My, Polacy, przyzwyczajeni latami do potrzeby szukania własnych, prostych, genialnych, ale efektywnych rozwiązań, nauczyliśmy się pewnego specyficznego toku myślenia. Myślenia niezbędnego w takiej pracy. Lata obserwowania naszych ojców i matek odpłaciły się – rośniemy na potentata w projektowaniu wszystkiego. Od mebli, po biżuterię, na ubraniach kończąc. Nasza kreatywność rozwiązywania problemów oraz ozdabiania wszystkiego dokoła nie ma granic. Po etapie surowego wzornictwa wracamy do korzeni. Na bogato, kolorowo i z przytupem.

Na szczęście ktoś kiedyś wpadł na pomysł, aby połączyć stare z młodym. Chłopomania przeżywała swój największy rozkwit w drugiej

połowie XIX w. Ja, z pełną odpowiedzialnością swoich słów, oficjalnie stwierdzam, że wróciła w pierwszej połowie XXI w. A pisząc te słowa, czuję się jak Pani Szczepkowska, która ogłaszała „koniec komuny” – pełna radości, nadziei i wiary w to, że zapadnę na zawsze w księgi historii. Młodzi ludzie na nowo pokochali swojskie klimaty. Nie są już one wstydem i obciachem. Nie są „wiejskie”. Teraz są wdzięcznym „folkkiem” i cechą charakterystyczną hipsterskiego ruchu.

Gdy zaczynałam pisać ten tekst, myślałam, że wymienię, z czego garściami czerpią polscy Dizajnerzy. Prawdopodobnie gdybym siedziała wystarczająco długo nad źródłami, lista wraz z rozwinięciem każdego punktu zajęłaby wszystkie strony tego numeru „VariArtu”. Studia jednak nauczyły mnie ważnego aspektu pisania artykułów – nigdy nie zakładać, co dokładnie napiszemy. Mimo że felieton rządzi się swoimi prawami, to ciekawość i nieprzewidywalność toku myślowego zawsze wygra.

Bo pisząc to wszystko, do głowy przychodziła mi jedna myśl – dlaczego? Dlaczego akurat takie klimaty? Skąd wzięła się u nas taka potrzeba powrotu do kolorowych kwiatów, haftów, tęczowych prążków i wycinanek łowickich. Nawet chwalenie się na koszulce miłośnią do bigosu nie jest *faux pas*.

Przecież tak bardzo dążymy do wszechobecnego multikulti. Ciągłe widzę przeświadczenie, że zagraniczne znaczy lepsze. Aktor z epizodem za granicą? Lepszy. Piosenkarka z teledyskiem kręconym za wielką wodą? Lepsza. Jeansy z Ameryki? Lepsze. Kuchnia z dziwnego kraju, o którym nikt nie słyszał? Również lepsza. To o co chodzi?

Okazuje się, że jednak nie do końca mój tok myślenia był właściwy. Chcemy być *hip*, *cool* i *trendy*, ale i pokazywać, co mamy najlepsze. Byliśmy, zobaczyliśmy i wracamy. Wracamy do prostego życia, gdzie – jak w piosence Cleo i Jonatana – chleb jest rumiany, śmietana swojska i „To, co nasze jest, najlepsze jest, bo nasze jest!”. Najwyraźniej zasypani nowoczesnością i tempem „korpo życia” marzymy tylko o tym, żeby poczuć się jak u babci na wsi albo wycieczce w skansenie. Zatrzymać się na chwilę, popatrzeć na maki i łapać babie lato, jak na obrazie Chełmońskiego.

A jeśli my jesteśmy z tego dumni, jeśli nam sprawia to przyjemność – zauważą to ludzie przybywający z wszystkich stron do Polski. Więc możemy spokojnie czekać, aż hurtem nasz Dizajn rozejdzie się na każdy kraniec Świata, a Polska znowu będzie krajem mlekiem i miodem płynącym. Dizajnerskim, oczywiście.

Agata Zaręba-Jankowska

POST APO SKILLS

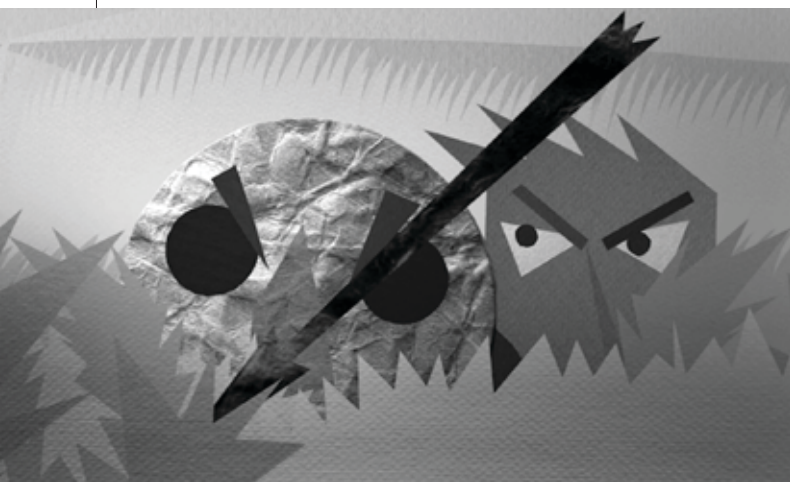
Świat zmierza ku końcowi, najpewniej będzie to apokalipsa zombie. Nieliczni, którzy przeżyją, będą zmuszeni odbudować cywilizację własnymi rękami. Żeby nie było wątpliwości – całą cywilizację. Potrzeba będzie ubrań, narzędzi, schronień, ktoś będzie musiał zająć się pozyskiwaniem żywności poprzez zbieractwo i hodowlę.

Zapewne dlatego coraz więcej nowoczesnych, wyzwolonych, robiących kariery kobiet (i mężczyzn) zgłębia tajniki dawnych rzemiosł, wydawałoby się zupełnie już niepotrzebnych. Ja również (mimo że nie uważam się na wybitnie nowoczesną i robiącą karierę) kolekcjonuję *post apo skills*.

Zaczyna się zazwyczaj niewinnie, ot – przechodząc się po mieście – zauważam kątem oka pstrokatą wystawę pasmanterii i wiedzioną jakimś niewytłumaczalnym impulsem postanawiam wstąpić do środka, gdzie zostają odurzona kolorami i fakturami dostępnych włóczek. Wtedy pojawia się zdradziecka myśl, a może by tak machnąć sobie szalik na drutach? To przecież nie może być takie trudne, a ostatnio nawet zrobiło się modne. Celebryci wszelkiej maści pozują na ściankach z drutami w rękach. Jeśli sama nie dam rady, to babcia przecież mi pomoże! Wyekwipowana w kłębki i inne magiczne artefakty ruszam do domu z mocnym postanowieniem opanowania nowych umiejętności. Dzierganie okazuje się jednak nieco bardziej skomplikowane, niż wydawałoby się to na pierwszy rzut oka. Z pomocą książek (są o tym książki!) i filmików instruktażowych znalezionych w internecie

(są całe zakątki Internetu poświęcone takim zagadnieniom!) udaje mi się ukończyć dzieło. I nieważne, że jest trochę krzywe, i że ostatecznie jest w kilku kolorach (bo przecież zabrakło włóczki jakoś tak w trzech czwartych długości, a nie chciałam czekać na dostawę w pasmanterii). Dumna motam mój pierwszy wydrutowany szalik na szyi (mimo że mamy lipiec i jest dość ciepło). Zaczynam się zastanawiać, czy nie pójść dalej w kierunku opanowywania rzemiosł. W sumie to całkiem przyjemne zajęcie, odstresowujące, a i dość użyteczne. Po tygodniu prób już mniej więcej wiem, jak używać szydełka. Po kolejnych kilku tygodniach jestem w stanie uszyć sobie spodnie. (Są równie piękne, jak mój pierwszy szalik, za to następne już bez wstydu mogą założyć do pracy). Zaczęłam się zastanawiać, z czego robi się włóczkę. Niby to oczywiste, z wełny, bawełny, jedwabiu lub mieszanek. Ale konkretnie jak? Ponownie odkryłam dziwne zakątki Internetu i zamknięte grupy na Twarzoksiążce. Kupiłam kołowrotek (ja! – która zarzekałam się, że nigdy, przenigdy nie wezmę drutów do ręki!) i pojechałam na nauki do doświadczonej prządki na Kaszuby. Szczerze mówiąc, było ciężko. Kilka godzin prób obłaskawienia potwora, klucia się wrzeczonym i złapania poczucia rytmu (bo wszystko to opiera się na rytmie) zaowocowało ledwie nieco ponad stu metrami bardzo artystycznej włóczki. W domu dzielnie przędłam aż do skończenia wyproszonego surowca i stanęłam przed kolejnym zagadnieniem, skąd u licha wziąć w środku miasta runo owcze? Szczęśliwie, Olsztyn jest miastem uniwersyteckim, a uczelnia miejscowa posiada rozbudowaną sekcję kierunków rolniczych i stada eksperymentalne, w tym całkiem pokaźne stadko owiec. Moja prośba o udostępnienie runa wywołała niemałą konsternację, ale koniec końców wróciłam do domu, targając olbrzymi wór brudnej wełny. Później były wielce kształcące zabawy z praniem wełny (co nie jest taką prostą sprawą), czesanie jej i przędzenie. Po roku miałam przygotowane jakieś cztery kilogramy włóczki. Powstał kolejny problem, co z nią zrobić? Co robi się z włóczki oprócz dziergania? Przecież mogę nauczyć się tkąć! (Moje szaleństwo nabrało rozpędu i rozmachu). Kilka miesięcy polowałam na portalach aukcyjnych zaowocowało wyprawą na drugi koniec kraju po w pełni sprawne, kompletne i olbrzymie krosna. Znalazłam (znowu dzięki Internetowi) kursy tkackie, przy okazji zrobiłam również uprawnienia instruktorskie.

W taki oto sposób, zaczynając od niewinnego spaceru, dotarłam do posiadania całkiem sporego wachlarza umiejętności, które pomogą mi przetrwać apokalipsę. Ale na tym nie koniec, może by tak zorganizować sobie własne stadko owiec?



Kadr z filmu *Warmińska Wstęga*, czyli Tryptyk znad Łyny. Reż. Adam Smoczyński



Michał Turowski

Właściwie nie wiem do końca, jak to jest w moim życiu. Czy to ja zajmuję się muzyką, czy muzyka zajmuje się mną.

Od kilkunastu lat śpiewam i gram zawodowo. Na głos, cymbały, piano i bębny. Współtworzyłam jedno z pierwszych w Polsce zespołów tworzących muzykę polską tradycyjną w nurcie In Crudo. Nadal gram i uczę się rozwijać język tradycji w dźwięku. Szczególnie bliska jest mi muzyka regionu, w którym się urodziłam i mieszkam – Warmii i Mazur. Piszę autorską muzykę, piosenki dla dzieci oraz dorosłych słuchaczy. Muzykę teatralną i filmową. Prowadzę warsztaty, jak bawić się muzyką i słowem oraz jak doskonalić energię białego głosu. Pracuję nad własnym stylem w sztuce, który określam jako „muzyka delficka”. Pomiedzy przeszłością a przyszłością, śladem rzek i roślin, rytmów dawnych kroków, drewnianych barw i długich opowieści – na początku mojej drogi – był śpiew operowy oraz ogromna fascynacja wokalistyką jazzową. Później spotkanie z żywą muzyką tradycyjną, a przede wszystkim – niezwykle wtedy dla mnie doświadczenie wspólnego śpiewania i grania z Bractwem Ubogich i Kapelą Brodów. Z czasem odkryłam, że każdy z nas ma swój niepowtarzalny głos.

„Białą” sugeruje czystość i duchowość tego zjawiska. Śpiew to dla mnie forma ekspresji i wyrażania się artystycznego. Nieograniczona i wędrująca. Śpiewanie jest otwartą aktywnością dla wszystkich, którzy chcieliby przeżyć przygodę z własnym głosem. Niezobowiązująca funkcja społeczna, bardzo ważna w kontekście zanikającego

Anna Broda Śpiew i cymbały

repertuaru i braku spontanicznych okazji do wspólnego śpiewania. Głos jest podstawowym narzędziem muzycznym, które każdy z nas dostaje jako dar natury. Element ten można kształcić, ale pewne cechy są dla głosu niezbywalne, jak jego siła, czy dynamika. Można więc powiedzieć, że to trochę jak los na loterii. Jaki głos otrzymasz, takim śpiewasz. Można pracować nad barwą głosu i jest dużo możliwości jego kształcenia, ale nie da się oszukać natury. Niewiele głosów ma tak zwaną naturalną siłę przekazu pieśni. Ta sprawa dotyczy śpiewaków.

Śpiew tradycyjny to praktyka związana z określonym repertuarem, przypisana dodatkowo skalom i rytmom, które bardzo trudno dać się zaprezentować za pośrednictwem zapisu nutowego. To praktyka związana z bezpośrednim doświadczeniem. Najstarsza na świecie nauka za pomocą naśladowania wykonawcy.

Polski śpiew nawiązuje swym charakterem do polskiej obrzędowości, do polskiej skali muzycznej, której to elementy dzielą się na kolejne regionalizmy, dialekty etc. Śpiewam, ponieważ organicznie potrzebuję tej formy ekspresji, jaką jest śpiewanie, wołanie, wibrowanie dźwiękiem, krzyczenie, oddychanie śpiewem. Jest to środek wyrazu integralny z instrumentalną częścią mojej muzyki, ale też istniejący w przestrzeni solowej. Trudno mi wyobrazić sobie życie bez śpiewu, w tej sytuacji to jakby wyłączenie dźwięku w przestrzeni. Śpiew to dla mnie echo wydarzeń i emocji wokół mnie. Każdą muzykę, jaką przyswajam, poznaję za pomocą zaśpiewanej melodii. Dodatkowo piszę pieśni i piosenki, a więc opowiadam historie za pomocą melodii i głosu.

Czysty głos niezwykle rzadko spotykany w dzisiejszych czasach działa i na słuchacza, i na twórcę w sposób głęboko poruszający, oczyszczający i inspirujący. To mój własny sposób naprawiania rzeczywistości :).

Cymbały nazywam akustycznym teleportem dźwiękowym. Niezwykle właściwości tego starodawnego instrumentu ciągle mnie zaskakują. Zupełnie niedawno dowiedziałam się, że miał on terapeutyczną rolę w kulturze tradycyjnej. Pół roku wcześniej zaczęłam praktykować z cymbałami zajęcia muzykoterapii dla dorosłych osób z zespołem Downa. Historia zatoczyła koło.

Drewniane pałeczki i przestrzenne brzmienie Jankielowskiego instrumentu angażują uwagę wrażliwego słuchacza. Nie do przecenienia jest możliwość słuchania na żywo takich brzmień. To prawdziwe antidotum na dźwięki miejskiego życia. Ale cymbały to także muzyka taneczna, wysokoenergetyczna i gatunkowa. Ostatnio coraz częściej komponuję współczesną muzykę na tym instrumencie.

„Warmia” to moje życie

Zespół Pieśni i Tańca „Warmia” obchodzi w tym roku 60-lecie pracy. **AGNIESZKA KRUPIŃSKA**, wieloletnia członkini „Warmii” i instruktorka tańca, opowiada o swojej pracy w zespole.

Dlaczego poświęcasz czas na pracę w zespole „Warmia”?

Agnieszka Krupińska: Zespół „Warmia” w moim życiu był od zawsze. Pracy w nim nie postrzegam jak powinności ani przymusu – „bo takie jest moje wykształcenie”. Po prostu jest to w moim życiu naturalna, wrodzona czynność. W zespole jestem od trzeciego roku życia, czyli od 1988 r. Zespół mnie wychował, nauczył wielu rzeczy – poza tańcem oczywiście. Dał przyjaźnię i znajomości na całe życie. Ukierunkował mnie, „wykształcił” mój charakter (gdyż bycie i praca w zespole to także wiele wyrzeczeń), a także pozwolił zwiedzić pół świata.

Więc jak nie kochać „Warmii” i nie kontynuować tego, co zaczęli moi rodzice?!

Moi rodzice poznali się jako nastolatki właśnie w „Warmii”. Podejrzewam, że tata (który jest dyrektorem i choreografem zespołu) od dnia moich narodzin miał taki plan, że w przyszłości przejmę jego stanowisko. I chyba się nie mylił. Praca w zespole jest bardzo ciężka i wymagająca. Szczególnie w dzisiejszych czasach, w dobie gier, komputerów i Internetu. Kiedy dzieci mają taki wachlarz zajęć dodatkowych, że same nie wiedzą, na co się zdecydować. Ale satysfakcja i radość tańczących po udanym koncercie jest bezcenna. Wyjazdy zagraniczne (mimo że jesteśmy wtedy cały czas „w pracy”) są wspaniałym wynagrodzeniem godzin spędzonych na sali, rekompensują wylany pot i stargane nerwy (ale tylko czasami).

Lubię swoją pracę, dlatego poświęcam się jej całkowicie.

Ważne jest też to, że zespół „Warmia” działa na wielu płaszczyznach, więc praca wbrew pozorom monotonna nie jest. Staramy się zmieniać układy i choreografie, organizujemy festiwale i uczestniczymy w przeglądach. Przy zespole działa Ośrodek Tańców Polskich, gdzie pary ćwiczą indywidualnie pod okiem instruktorów, biorą udział w wielu turniejach i mistrzostwach, z bardzo dobrymi wynikami, możemy pochwalić się najlepszymi parami w Polsce. Warto jest poświęcić na to wszystko swój czas.

Czy kultura ludowa może dziś być inspirująca i modna?

A.K.: Chyba każdy zdaje sobie sprawę, że ostatnio kultura ludowa jest inspirująca i modna. Świadczy o tym fakt, że coraz większą popularnością cieszy się np. odzież z elementami ludowymi – jak hafty, naklejki, wlepki, śmieszne napisy czy laleczki ludowe. Są już specjalne sklepy, gdzie można kupić mnóstwo pięknych rzeczy do dekoracji domu na styl ludowy. Oczywiście wszystko jest tak podawane, by było i nowoczesne, i właśnie modne. Bardzo mi się to podoba.

A w muzyce?! Największe hity to teraz te, które czerpią z ludowizny – i ludziom się to podoba. Muzyka góralska połączona z elektroniczną robi furorę. Donatan i Cleo także (tutaj może nie będą się rozwijać, bo mam im dużo do zarzucenia, ale wpływy kultury ludowej widać).

Folklor jest także podstawą na różnych festynach, imprezach okolicznościowych i uroczystościach. A największą popularnością cieszą się restauracje, w których podawane są najlepsze dania regionalne. Kultura ludowa była, jest i będzie modna.

Czy będąc w „Warmii”, czujesz się Warmiaczką?

A.K.: Kocham Olsztyn i nasz region, choć niestety nie mówię gwara warmińska. Tańczę i pracuję w „Warmii”, dzięki czemu poznałam historię regionu, prowadzę zajęcia w szkołach i przedszkolach z tańca regionalnego. Jeżeli to wszystko składa się na bycie Warmiaczką, to tak, dzięki zespołowi czuję się Warmiaczką.

Rozm. zespół red.

Zespół Pieśni i Tańca „Warmia” powstał w 1954 r. Początkowo był to zespół szkolny utworzony z uczniów Technikum Kolejowego. Główny udział w powstaniu zespołu miała Cecylia Rożnowska, która do 1984 r. towarzyszyła największym sukcesom „Warmii” oraz stanowiła o jego repertuarze. Od 1985 r. funkcję kierownika artystycznego przejął jej uczeń i członek „Warmii” (od 1972 r.) – Mariusz Krupiński. W 2000 r. powstaje Stowarzyszenie Kulturalne Zespół Pieśni i Tańca „Warmia” w Olsztynie. Kierownikami artystycznymi zespołu są obecnie: Artur Chwata i Mariusz Krupiński. W repertuarze zespołu – obok pieśni i tańców regionu warmińsko-mazurskiego – znalazły się również tańce z innych regionów Polski oraz tańce narodowe.

W 1994 r. „Warmia” inicjuje ideę konkursu tańców ludowych indywidualnych par tanecznych oraz Międzynarodowe Olsztyńskie Dni Folkloru, które organizuje do dziś.



Dom Pracy Twórczej (i inne atrakcje) w pięknej warmińskiej wsi

Gietrzwałd to niewielka miejscowość położona na Warmii, znana przede wszystkim z Sanktuarium Maryjnego, które co roku odwiedzają setki tysięcy wiernych. Jest to także miejsce symboliczne dla warmińskiej tradycji i kultury. Od 1992 roku tu ukazuje się „Gazeta Gietrzwałdzka”, kontynuująca lokalną tradycję, którą zapoczątkował Andrzej Samulowski. Tutaj bowiem mieściła się przed laty słynna księgarnia, która dała początek „Gazecie Olsztyńskiej”. Obecnie Gietrzwałd przyciąga twórców, którzy mogą poszczycić się dużym dorobkiem artystycznym.



Od lat w okolicy działa Wspaniały Teatr Bez Nazwy, którego sukces zaprowadził aktorów nawet na scenę Teatru Muzycznego w Gdyni. Kiedyś funkcjonował tu dziecięcy teatr kukiełkowy „Sobieradek”, działało też kino „Grześ”. Szczególnie w ostatniej dekadzie w Gietrzwałdzie dał się zauważyć wzmożony ruch artystyczny. W Gminnym Ośrodku Kultury swoje zdjęcia prezentował fotograf i reżyser Janusz Połom, a wernisaże miała malarka Anastazja Fietisowa. Prace malarskie wystawiali także studenci Wydziału Sztuki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Premierę miał też komediodramat Jerzego Szczudlika, zaś obecnie w Galerii Warmińskiej można oglądać imponujące rzeźby lokalnego twórcy, Marka Winiarskiego z Woryt. W gminie działają również młodzi filmowcy, którzy odnoszą spore sukcesy nawet na arenie ogólnopolskiej.

Gietrzwałd to także miejsce, które rozbrzmiewa muzyką. Potwierdzają to wielokrotne występy zespołu „Pro Musica Antiqua” oraz coroczne chóralne koncerty na gietrzwałdzkich błoniach z udziałem znanych aktorów i muzyków. Również ze sceny GOK-u muzyka płynie często i gęsto. Niedawno w nowo powstałym amfiteatrze Radio Olsztyn wspólnie z gospodarzem wydarzenia, Gminnym Ośrodkiem Kultury, zorganizowało przegląd twórczości młodych artystów – i ma zamiar kontynuować takie akcje.

Jak widać, w Gietrzwałdzie dzieje się dużo, interesująco i na wysokim poziomie. Wieś swoim dobrym klimatem przyciąga twórców i inspiruje. By zapewnić im dogodne warunki do działania, niedawno oddano do użytku stojący przy ulicy Spacerowej Dom Pracy Twórczej. Budynek przed laty pełnił funkcję kuźni. Miejscowy kowal, Otto Jach, wykuwał w swojej pracowni podkowy i naprawiał maszyny rolnicze. Później pomieszczenie pełniło funkcję małej stodoły, w której trzymano siano, a przez ostatnie lata budynek niszczał i wyglądał coraz gorzej na tle piękniejącego Gietrzwałdu. Ratunkiem stały się fundusze unijne. Dzięki nim trzy lata temu ruszyła budowa Ogródów Gietrzwałdzkich, a dziś miejscowość może poszczycić się m.in. wspaniałym amfiteatrem oraz pięknie odnowioną kuźnią, przeznaczoną właśnie na Dom Pracy Twórczej.

Całość inwestycji kosztowała ponad 3,5 miliona zł, przy czym połowa środków pochodziła z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego. W efekcie do dyspozycji artystów oddano budynek, w którym będą mogli oni w zaciszu, chłonąć warmiński klimat, tworzyć prace malarskie czy rzeźbiarskie. Dawna kuźnia czeka też na młodych, zdolnych twórców, którzy mogą zamieszkać w pracowni w okresie letnim. Ich płodną artystyczną pracę zwieńczy wystawa zorganizowana w Galerii Gminnego Ośrodka Kultury.

Gietrzwałd to mała wieś mająca wiele do zaproponowania. Nie tylko można tu smacznie zjeść, np. w popularnej Karczmi Warmińskiej, wybrać się na spacer po ogrodach, albo udać się do cudownego źródła. Dzięki staraniom pracowników GOK-u do tej oferty można włączyć też ważne wydarzenie na kulturalnej mapie regionu, mianowicie Spotkania Warmińskie. W dniach 9-10 sierpnia 2014 roku odbędą się one po raz kolejny, jednak już w nowym amfiteatrze i jego sąsiedztwie – oraz w zmienionej formule. Tym razem impreza pomyślana została jako przegląd warmińskiej twórczości artystycznej, rękodzielniczej, choć już nie tylko folklorystycznej. Jak widać – warto tu przyjeżdżać!

